Nr. 13. Warszawa, dnia 28 (16) Marca 1891 r. Rok XI.

PRAWDA

FILOZOFIJA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Szan. abonentów kwartalnych o odnowienie prenumeraty uprzejmie prosimy.

POLITYKA.

TAJEMNICE KASY.

Z zupełną słusznością powtórzyć można słowa bohatera Shakespearowskiego, że coś się popsuło w państwie... pruskiem.

Jak wiadomo, po wojnie z Austryą Prusy położyły sekwestr na majątku nieprzyjaznego im króla hanowerskiego Jerzego, zawarowawszy zwrot zrzeczeniem się jego potomków do tronu. Zebrany kapitał spoczął w banku państwa, a procenty, z mocy osobnego aktu prawodawczego, miały być używane na „odpieranie przedsięwzięć króla Jerzego i jego agentów, zwróconych przeciwko Prusom.“ Zdetronizowany władca umarł, jego spadkobiercy nie podejmują przeciw zwycięzcy żadnych wrogich „przedsięwzięć“; mimo to milionowe odsetki, którymi Bismark rozporządzał bez żadnej kontroli i rachunku, odchodziły ciągle na „odpieranie“ mniemanego nieprzyjaciela. Kilkakrotne podniesienie w parlamencie zasłony, okrywającej to źródło, pozwoliło zbadać łożysko i kanały jego odpływu. Okazało się mianowicie, że „rolę odpieraczów“ grają płatne pismaki, rozmaitego rodzaju Pindtery, króla Jerzego zaś i jego agentów zastąpili polityczni przeciwnicy Bismarka — centrum, postępowcy i demokraci. Tym sposobem „fundusz Welfów“ zamienił się na „fundusz gadzinowy.“ Kanclerz utrzymywał sobie z niego dzienniki służalcze, literatów, szpiegów, agitatorów, całą tę niezliczoną czeladź, która go obsługiwała, broniła, wysławiała i napadała jego wrogów. Nikt nie wymierzył tego bagna, otaczającego źródło gadzinowe, wszyscy jednak wiedzieli, że jest ono olbrzymie, że zaraża atmosferę polityczną miazmatami moralnymi, że przechowuje w swem łonie jadowite płazy. Instytucya szerząca taką zgniliznę pod imieniem obrony przeciwko nieistniejącemu królowi Jerzemu gorszyła wielce uczciwsze żywioły w Niemczech. Domagały się też one zniesienia jej, wyszlamowania błota i nadania funduszowi Welfów jakiegoś godziwszego celu. Ale Bismark wszechwładzą swoją tłumił opozycyę i zamykał usta jej rzecznikom. Dopóki panował, gospodarzył oddanemi mu pieniędzmi, nie składając nikomu rachunku i oburzając się na najlżejszą chęć ograniczenia jego samowoli. Skoro został usunięty, następca jego objawił wyraźnie zamiar pozbycia się „gadzin,“ tj. prasy „odbierającej natchnienia,“ tajemnych stosunków, środków i narzędzi. Wraz z tą reformą „fundusz Welfów“ stracił mniemanego króla Jerzego, którego dotychczas pokonywał, a nie miał uczciwego przeznaczenia. Zaczęto więc myśleć o zwróceniu go prawnym spadkobiercom wydziedziczonego monarchy lub przynajmniej o lepszem zużytkowaniu. Wzrastający wpływ centrum, które stale dopominało się o tę naprawę, czynił jej możliwość prawdopodobną. Tymczasem ktoś wykradł i puścił w świat tajemnicę, która nietylko musi doprowadzić do oczyszczenia bagna, ale oświetla gospodarkę Bismarka z nieznanej a bardzo charakterystycznej strony.

Przed kilku laty teść ministra Böttichera (wielce protegowanego przez kanclerza) wpadł w kłopoty pieniężne. Chociaż w ich koło nie był wciągnięty zięć, zwrócił się jednak do wielkorządcy Niemiec z żądaniem dymisyi. Bismark powstrzymał go od tego kroku i obiecał, że wyjedna u cesarza pomoc. Jakoż wkrótce Bötticher otrzymał 350,000 marek na pokrycie długów teścia i pozostał przy swoim urzędzie.

Jak sobie objaśniał pochodzenie tej sumy? Przyjaciele jego zapewniają, że uważał ją za dar cesarski ze szkatuły prywatnej, za który podziękował i którego nie potrzebował zwracać.

Wylewając żale w swej samotni na „niewdzięczność“ ludzką, Bismark między innymi wskazał Böttichera. Nie rozumiano tej pretensyi i tłomaczono ją tak, że dymisyowany kanclerz wymagał od swego „kolegi“ współczucia za drobne usługi i podtrzymywanie na stanowisku. I oto po upływie roku znaleziono klucz do tej zagadki w Wiedniu. Stamtąd wyszła wiadomość, z początku zaprzeczona, potem częściowo przyznana, a wreszcie całkowicie stwierdzona, że Bötticher otrzymał 350,000 marek dla teścia z funduszu Welfów. Powstał krzyk w prasie, którego już w żaden sposób niepodobna było uciszyć „potrzebą obrony państwa przeciw królowi Jerzemu.“ Pindter jeszcze mógł być obdarzony tem posłannictwem, ale nigdy teść ministra, któremu monarcha hanowerski nie przyczynił długów. Najgorliwiej wyzyskują tę sprawę dzienniki postępowe i demokratyczne, które, usunąwszy na bok Böttichera, pociągają do odpowiedzialności Bismarka. On był gospodarzem skonfiskowanego kapitału, on pośredniczył w uzyskaniu zapomogi, on obowiązany był konstytucyjnie nadawać moc rozkazom cesarskim, więc niech on usprawiedliwi nadużycie. Jest pewna podstawa do przypuszczenia, że tę tajemnicę kasy funduszu gadzinowego zdradził sam Bismark, który — jak mówi Heine — chętnie przebacza swym nieprzyjaciołom, ale żąda, żeby ich wprzódy powieszono, a do Böttichera czuł głęboką urazę. Jeżeli tak jest, to nie przewidywał, że skandal zwrócony będzie przeciwko niemu. Ci, co najgłośniej krzyczą, krzyczą przeciw niemu, a *Freis. Zeitung* rozbiera nawet kwestyę pozwania Bismarka przed sąd za roztrwonienie pieniędzy publicznych, powierzonych jego pieczy, na korzyść osób prywatnych. Wielbiciele zaś, pragnący nie nadawać tej sprawie rozgłosu, bronią go

bardzo słabo. Przed paru tygodniami poruszono już ją w sejmie, ale „chór landratów“ nie dopuścił do rozpraw nad „złośliwą pogłoską.“ Dziś pogłoska stała się prawdą, nie ulega więc żadnej wątpliwości, że ona za pomocą interpelacyi musi wejść pod obrady i wywołać objaśnienie ze strony rządu. Tej przyjemności Richter sobie nie odmówi, a jeżeli Bismark przyjmie ofiarowany mu mandat i wejdzie do sejmu, będzie musiał bezpośrednio odpowiedzieć na zarzuty.

Jak często, i tym razem ze zła narodzi się dobro. Po wykryciu takiego użytku z pieniędzy Welfów, jeśli one nie wrócą we właściwe ręce, przestaną służyć niecnym i prywatnym celom. Źródło funduszu gadzinowego wyschnie.

LISTY SPOŁECZNO-POLITYCZNE O FRANCYI.

V.

Ks. Hieronim Napoleon. — Partya bonapartystyczna i losy dwu jej odłamów. — Wyścigi. — Nędza. — Na przełomie.

Przedśmiertne męki ks. Napoleona pozwalają prawie przebaczyć mu wiele grzechów jego życia. Pod każdym względem odznaczał się brakiem przekonań i interesowności ą. Za dwa miliony rocznej pensyi przystał do Cesarstwa, jakkolwiek przez cały czas trwania kiwał nanie palcem w bucie, co naiwni nazywali „opozycyą istotnego demokraty.“ Ta opozycya „człowieka na utrzymaniu“ nie była rozumie się straszną, dwór jednak go nie lubił i rzucał jego obyczaje, odwagę i honor przez okna pałacu na pokarm dla śmiechu tłumów. Istotnie było to życie rozwiązłe, tchórzliwe i bezmyślne. Upiększał je, o ile mógł, towarzystwem artystów, pisarzów, filozofów i kokotek. Czyni to honor jemu, ale nie gwiazdom francuskiej myśli i sztuki, które błyszczały na tym brudnym firmamencie. Czy nie strach pomyśleć, iż sztuka i nauka nie mogą się jeszcze obejść bez mecenasów i protektorów? Nie mówię już o tych lokajach, którzy dobrowolnie wdziewają liberyę i potem w pamiętnikach swych szczycą się tem, iż błaznowali u panów na śniadankach! Ale co za okropna rzecz, iż konieczność przymusza tylu artystów do wlewania swych uczuć, marzeń i myśli w dzieła, które będą upiększać sypialnię jakiejś kurtyzanki lub arystokraty! Czyż może być większe poniżenie? Albo czy nie strach pomyśleć, iż ludzie, których dziełami się zachwycamy, gną karki przed jakiemś marnem książątkiem i wycierają kąty jego przedpokojów? Zaiste, zwierzęta są pod wielu względami wyższe od człowieka. Nigdy orzeł nie giął karku przed pawiem i nie przychodził do jego stołu prosić o ochłap za cenę pokory i błazeństw. Tymczasem iluż to „wolnych synów pieśni“ nosiło mundury wszelkiego rodzaju kamerdynerów i uważałoby się za szczęśliwych, gdyby im pozwolono być obecnymi przy akcie wkładania spodni przez jakąś wysoce postawioną nicość!

Śmierć ks. Napoleona przyśpieszy tylko ten rozkład, który wśród bonapartystów obecnie się odbywa. W ślad za orleanistami przechodzą oni z bronią i bagażami do obozu Rzeczypospolitej, tak, że główne komitety napoleońskie uważały za potrzebne jeszcze raz w miesiącu bieżącym ogłosić światu swe wyznanie wiary. Oto charakterystyczny wyjątek z manifestu: „Komitety nie przyznają za legalną żadnej formy rządu, oprócz tej, która będzie przyjęta przez powszechne głosowanie. Wierni istotnym doktrynom demokratycznym, reprezentowanym przez ks. Wiktora Napoleona, doktrynom, do których napewno większość obecnych dyssydentów powróci, komitety ani na chwilę nie opuszczą walki za święte prawa narodów.“

Partya bonapartystyczna zawierała dotychczas dwa odłamy. Rozdział nastąpił po śmierci syna cesarzowej Eugenii, zabitego przez zulów. Czysto konserwatywna część partyi nie chciała przyznać kierownictwa ks. Hieronima, którego uważano za demokratę i ateusza. Wystawiono więc jako wodza syna jego Wiktora. Ten przyjął misyę, zwłaszcza że chciał się stać niezależnym od ojca, którego nienawidzi. Książę Wiktor jest zaprzedanym sługą klechów i arystokratycznych mamutów. Cały ten manewr wyszedł wszakże na złe partyi cesarskiej. Znaczna część konserwatystów przeszła za czasów rozdziału pod sztandar royalistyczny ks. Paryża. Imperyaliści zaś pozostali z dwoma znacznie osłabionymi odłamami: postępowym pod wodzą Hieronima i konserwatywnym pod kierownictwem Wiktora. Pierwszy, powtarzając taktykę Napoleona III, zgodził się na Rzeczpospolitą, pod warunkiem, aby na czele jej znajdował się prezydent, obrany głosowaniem powszechnem. Drugi chce odbudować cesarstwo „sans phrase.“ Oba programy opierają wszystkie swe nadzieje na chłopstwie, które we Francyi, jak i wszędzie zresztą, jest przedstawicielem wszelkiej reakcyi: ekonomicznej, politycznej i społecznej. Obie więc grupy na czele swych żądań stanowiły: „appel au peuple,“ tj. plebiscyt. Gdyby można było w jakiś sposób go wywołać, kto wie, czy jeden z tych planów nie byłby urzeczywistniony. Obecnie, gdy przedstawiciel kierunku „demokratycznego“ zniknie, „jérômiści“ w znacznej części przejdą do Rzeczypospolitej; reszta przytuli się do ks. Wiktora lub hr. Paryża, niektórzy sądzą, że do ks. Ludwika, drugiego syna, któremu Hieronim miał pozostawić swe dziedzictwo polityczne.

W rezultacie jednak i ten obóz znacznie się uszczupli i szlachta francuska będzie mogła z większą jeszcze swobodą oddać się jedynemu zadaniu swego życia, grom hazardowym. A trzeba przyznać, iż los jest dla niej pod tym względem nader łaskawy. Zakłady wyścigowe zniesione nie będą! Oto dlaczego.

Pewien procent z dochodów wyścigowych idzie na biednych. Constans, minister spraw wewnętrznych, przywłaszczył sobie— jak powiadają jego wrogowie, przechował— jak sam powiada, coś z 1½ miliona franków wdowiego grosza. Opozycya podniosła żywo ten fakt: niektórzy nazwali go wprost złodziejstwem i w ciągu połowy roku systematycznie wytykali ministrowi ową sumkę. Constans oświadczył więc, iż zabranych pieniędzy nie zwracał dlatego, że chciał wpierw przedstawić nowe prawo co do ich podziału. Przystąpiono do rozpraw nad odnośnym projektem, ale cała sprawa była zeszyta tak białą fastrygą, iż przyjmując tłomaczenie, Izba nie mogła ukryć pewnego ironiczno-pogardliwego koniuszczka w debatach. „Gdy dwaj augurowie się spotykają na ulicy, to spoglądają na siebie z uśmiechem“ — powiadali rzymianie. Ministra uśmiech ten do wściekłości doprowadził, to też oświadczył, iż uważa zakłady wyścigowe za niemoralne i sam osobiście byłby za zupełnem ich zniesieniem. A ponieważ Izba nie chciała się dać wyprzedzić na tych wyścigach moralności, więc zagłosowała zniesienie zakładów. Komedyę tę

---

2)

Z TEKI HISTERYKA.

Zepsuty klawisz.

(Dokończenie).

Kilka tygodni temu Smerecki, dowiedziawszy się o mojem zastępstwie, probował dopiąć swego celu przezemnie i raz przecie, jak powiadał, wykazać ogółowi, że może się zdobyć na „coś własnego.“

Rzecz prosta, iż mając tak dobitne przed sobą prejudykaty, odmówiłem z miejsca. Bogiem a prawdą — bez szczególnej satysfakcyi.

Musiałem jednak stoczyć pewną walkę z własnem dla niego współczuciem. Chcąc przeniknąć treść podanych sobie kartek, trzymałem je jaki kwadrans w ręku, nieznacznie chwytałem tu i owdzie słówko i odrzekłem wreszcie głosem możliwie obojętnym, tonem umywania rąk od wszystkiego.

— Robi mi pan zaszczyt, zdając się na mój niekompetentny sąd, lecz mam wyraźne polecenie nie przyjmować żadnych utworów beletrystycznych, wobec znacznego zapasu, jaki mamy oddawna. O, proszę rzucić okiem — dodałem — wyjmując oburącz z szufladki biurka grubą plikę manuskryptów...

Kłamałem bezczelnie. W istocie bowiem bałem się redaktora. Byłbym zresztą przyjął rękopis na własną odpowiedzialność, lecz znowu zraził mię on swym niedoczutym, niewytrzymanym, niedociągniętym dramatem, który przecież dziwnie wyglądał na tle płomiennego żaru i potężnej egzaltacyi umysłu.

— A jakież jest zdanie pańskie o tych świstkach? — spytał w końcu.

Struchlałem. Co mu powiedzieć? Wynurzyć to, com sobie mówił w duchu, a nuż to „idyotyczne“? Wzywałem na pomoc wszystkich świętych pańskich i trzaskałem stawami palców dla ukrycia mego zakłopotania.

Nagle przez wpółotwarte drzwi wzrok mój padł na stojący w odległym kącie salonu fortepian. I nie wiem dlaczego strzeliła mi do głowy dzika myśl, którą nieśmiało, z drżeniem w głosie wypowiedziałem:

— W panu jest jeden klawisz zepsuty...

Uląkłem się własnych słów i spojrzałem na Smereckiego, czując w powietrzu parsknięcie śmiechem...

On wytrzeszczył tylko oczy, przerażony, i wlepił je we mnie, jakgdyby nagle zwątpił o należytym porządku moich władz umysłowych.

Po chwili uśmiechnął się z politowaniem, znowu spoważniał, zmarszczył czoło i mniej już przelękniony, lecz za to przenikliwiej spojrzał mi w twarz, i znowu uśmiechnął się, ale już bez politowania, i znowu w zadumie dłonią potarł czoło.

Widocznem było, że dwa uczucia, czy też dwa domysły toczyły w nim walkę. Chwilami zdawało mu się pewnie, że sfiksowałem na poczekaniu, lub że chcę zabawić go dwuznacznym konceptem z rodzaju kawalerskich, to znów jakgdyby odgadywał ukryte znaczenie moich słów.

Siedzieliśmy obadwaj na ottomanie. Zapaliłem papieros i widząc, że wpatrzył się uporczywie we własne buty, z za kłębów dymu jąłem badać jego twarz. Dziwnie bo też ruchliwa była i wyrazista. Ale i nieprawdopodobnie zmieniona. Co się to z nią stało od roku, od dwóch! Dawnych rumieńców ani śladu; oczy niespokojne, osadzone głębiej; lekki wyraz skargi i boleści błąkał się dokoła ust. Gdy mówił, żyły na skroniach chorobliwie mu nabrzmiewały. Gdzie się podziała jego tryskająca swada, rozmowność, nie znająca spoczynku? Snadź coś w nim zachwiało równowagę i, rzekłbyś, zmieniło typ samej organizacyi. Z człowieka entuzyastycznej werwy, stał się człowiekiem trawiącej refleksyi, skłonniejszym do milczenia i przeżuwania własnych myśli.

Przerwał wreszcie nieznośną tę ciszę, odruchem rozdrażnienia machnął ręką w natarczywy kłąb dymu, który puściłem w jego stronę i zapytał:

— Co pan rozumiesz przez to?

odegrano uroczyście, ale nikt jej nie brał na seryo. Ochłonięto szybko z zapałów moralnych. Wszczęła się wrzawa okropna: zakłady — to nerw wyścigów, wyścigi zaś — hodowli końskiej. Stąd do patryotyzmu krok jeden: a cóż się stanie z naszą artyleryą, a cóż się stanie z ojczyzną kochaną? Rozpinając się na krzyżu ojczyzny, burżuazya załatwia dziś najlepsze swe interesy. Wprawdzie przebąknięto tu i owdzie, że ostatecznie hodowlę koni mogłoby państwo wziąć pod swe kierownictwo bezpośrednio, albo pośrednio, naznaczając stosowne nagrody hodowcom i w ten sposób ojczyzna mogłaby być zbawiona bez ruiny masy biedaków, których przyciąga pokusa wygranej i którzy przepuszczają na wyścigach ostatnie swe oszczędności. We Francyi jest to istotny trąd, który opanował cały kraj i przeniknął głównie do klas niższych, niemiłosiernie w ten sposób łupionych przez garść wyzyskiwaczów. Nikt wszakże nieśmiałych tych głosów nie przyjął pod uwagę i obecnie na żądanie Izby ministeryum wypracowało projekt, który zabrania zakładów, ale tylko w drobnych hipodromach. Rozbój zaś, praktykowany na wielką skalę, zostanie uprawniony, gdyż własność — ale tylko większa, rozumie się—jest święta.

Stróże moralności, którzy rozpływali się w łzach i narzekaniach, skazali szczupaka za wielkie jego winy na utopienie i solennie wrzucili do morza.

A tymczasem ze wszystkich kątów Francyi rozchodzą się rozpaczliwe krzyki nędzy. W Paryżu pomimo dni pogodnych i wiosennych kilka tysięcy biedaków ciśnie się codziennie do przytułków, błagając o nocleg i kromkę chleba. Na prowincyi surowa zima zniszczyła wszelkie zasiewy: minister rolnictwa zażądał 3 milionów franków zapomogi dla najuboższych chłopów; po długich targach Izba je udzieliła — ale jest to kropla w morzu.

Francya przedstawia obecnie wszystkie też same objawy choroby, co i przed stu laty w chwili upadku feudalizmu. Nędza dzisiejsza ogarnia daleko szersze zakresy, niż wówczas, spekulacye J. Lawa były dziecinną igraszką w porównaniu choćby z tą grą hazardową, która na wyścigach grasuje. A i Cagliostra nie brak. Mistycyzm religijny, nekromantyzm i czary znowu wchodzą w modę, jak za czasów Salustyana lub Juwenala w cesarskim Rzymie, gdy kapłani wywoływali duchy umarłych, a Lokusta pokazywała swe sztuki w nocnych mrokach. Niedawno czytaliśmy, iż jednej niedzieli opuściło Paryż kilkanaście wagonów z pielgrzymami udającymi się — nie do ołtarzów Izydy, lecz do cudotwórczych amuletów w Lourdes. Ślepi, kulawi i głusi płyną, jak w starożytnej Romie, ku cudownym grotom, gdzie tajemnicze bóstwo ich uzdrawiało. A tymczasem nekromanci, spirytyści i okultyści trzymają w naprężeniu całą uwagę Paryża. Największe dzienniki reklamują „czarodziejów egipskich,“ którzy wróżą przyszłość ukształconym i dystyngowanym arystokratkom. A gdybyśmy chcieli wyśledzić, dokąd te matrony udają się wieczornym mrokiem, w towarzystwie kochanków (zwykłych lokajów lub żołnierzy — jak twierdzi G. de Maupassant), to znaleźlibyśmy gotową odpowiedź u Juvenala: do łazienki.

L. W.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Hr. Taaffe gra z przywódcami rozmaitych stronnictw w domino polityczne: zestawia z nimi tabliczki połowami podobnemi, ale ciągle tworzy się zamknięcie, które nie pozwala gry dokończyć. Uczestniczą w niej przedstawiciele: klerykalizmu, liberalizmu, semityzmu antisemityzmu, polonizmu itd. Jeżeli telegramy powtarzają ciągle, że „sytuacya pozostaje niejasną,“ nie należy ani temu dziwić się, ani posądzać o niedołęstwo prezesa gabinetu. Ułożenie większości w austryackiej Radzie państwa — to nie postawienie jajka sposobem Kolumbowym lub przewiezienie z brzegu na brzeg wilka, kozy i kapusty. To coś daleko trudniejszego, równającego się niemal kwadraturze koła.

W Niemczech, które obecnie mają bardzo obfity lęg kaczek, wpłynęła do prasy wiadomość, że między cesarzem a Bismarkiem nastąpi wkrótce pojednanie, do czego most zbudował hr. Waldersee, który rzeczywiście jeździł do Friedrichsruh. Są wszakże niedowiarki, którzy mniemają, że tu nie chodzi o żadne pojednanie, ale o wyjaśnienie, na jakiej zasadzie były kanclerz dał teściowi Böttichera 350,000 m. ze szkatuły Welfów. Sprawa ta, o której piszemy na innem miejscu, rozszerza coraz bardziej rumieniec wstydu na czołach niemców, którzy radziby ją co prędzej pogrzebać. Zwłaszcza gdy jedna z gazet, wtajemniczona w manipulacye funduszu gadzinowego, opowiedziała, że dowody zużytkowania go po rocznem sprawozdaniu Bismarka przed cesarzem *palono*, silniej niż przedtem odezwały się głosy, żądające zniesienia instytucyi, której akta musi ogień niszczyć.

I wielka karczownica polityczna, puszczona w ruch przez Bismarka na pola poznańskie, będzie podobno nastawiona inaczej. Według *Schlesische Zeitung*, która szybko chwyta wiatr, wiejący z góry, „działalność komisyi kolonizacyjnej uledz ma gruntownej zmianie. Zasadnicze w niej dotąd widoki polityczne mają ustąpić a interesy ekonomiczne zająć ich miejsce. Z zaniechaniem dotychczasowego celu politycznego ma ustać wykupywanie na rzecz kolonizacyi dóbr, będących własnością jednej tylko narodowości, a rozciągnąć się na wielkie dobra ziemskie wogóle. O ile wnosić można z pogłosek, istnieje zamiar popierania kolonizacyi pod formą dzierżaw we wszystkich prowincyach państwa. Zgodnie z tem obiega wieść, że komisya kolonizacyjna zamieniona zostanie na władzę centralną, mającą swoją siedzibę w Berlinie. Za zupełną zmianą dzisiejszej metody kolonizacyjnej przemawia fakt, że do tej chwili nikt nie został jeszcze zamianowany jej prezesem. Przewodniczy jej tymczasowo tajny radca regencyjny, Wittenkurg.“

Irlandczycy w dalszym ciągu biją się w ścisłem tego słowa znaczeniu. Parnell, chcąc zdobyć wyraźny dowód zaufania swych wyborców, składa mandat w okręgu Kork i zmusza swego przeciwnika Healego, ażeby uczynił to samo. Ale zaledwie dwaj zapaśnicy przybyli na pole walki, jakiś poplecznik Parnella wpadł do mieszkania Healego i wbił mu okulary pięścią w oczy. Na usprawiedliwienie tej awantury to tylko rzec można, że leży ona najzupełniej w granicach środków, używanych podczas wojen wyborczych.

Jeszcze Włochy nie przeprowadziły śledztwa o mordy, dokonywane w Massaua na krajowcach przez urzędników italskich, gdy spotkała ich bardzo przykra niespodzianka. Król abisyński Menelik oświadczył, że dziękuje im za przyjaźń, którą okupywać musi ciągłem rozszerzaniem się „sfery interesów włoskich“ i poradził hr. Antonellemu, ażeby wrócił na łono ojczyzny, bo mu w gościnie musi być niedobrze. Hrabia usłuchał życzliwej rady i jedzie do domu z twardym orzechem, który da do zgryzienia młodemu gabinetowi.

Wzruszyłem niby niedbale ramionami.

— Phi! Bo ja wiem? ot tak mi coś strzeliło do głowy.

Zaśmiał się przymuszonym śmiechem.

— No, nie sądzę, dodał. Musiałeś pan przecie mieć jakąś intencyę, określając w ten sposób moje autorskie kalectwo.

— Niech mi pan nie bierze za złe śmiałego sądu, jeśli już chcesz bym wyłuszczył całą prawdę, lecz zdaje mi się chwilami, iż pan pozujesz na człowieka przegryzionego chorobą wieku, nie posiadłszy jej w zupełności. Pańscy bohaterowie dużo rozprawiają, a mało cierpią, na samym wstępie zapowiadają dramat, obiecują owo coś, co jest dla czytelnika rozkoszą i boleścią, tymczasem obietnica zawodzi.

Przynajmniej takie to na mnie robi wrażenie... Ale, proszę pana, zakończyłem skwapliwie swą tyradę, wypowiedzianą jednym tchem i z pośpiechem uciekającego zająca — nie bierz tego na seryo; wierzcie mi, dodałem poufalej, dziwię się własnej odwadze, nie potrafię określić dokładnie tego, co... tego...

I wyciągnąłem rękę, by go przeprosić za swe zuchwalstwo. Ale on snać mię już nie słyszał i nie słuchał, siedział z głową na piersi pochyloną, z rękami namiętnie wpakowanemi w kieszenie.

Zbudzony wreszcie milczeniem swojem i mojem, ocknął się i wstał z kanapy, z miną niespodzianie obojętną. Jakgdybyśmy mówili dotąd o najzwyklejszych rzeczach, rozglądał się po pokoju, przyczem widocznie unikał mojego wzroku. Chwilami robiło to na mnie wrażenie, jakgdyby dyagnoza moja trafiała mu w gruncie rzeczy do przekonania, ale że nie mógł w dumie swej niepohamowanej przyznać słuszności tak marnemu, jak ja robakowi, więc udawał, iż nawet zapomniał o rozmowie naszej. Miał przytem więcej już pewności w całej swej postaci, com tłómaczył sobie nader ryzykownie tem, iż chce jeno nadrobić miną.

Pomimo te jednak refleksye, ja do reszty straciłem kontenans i uczułem wielką ulgę, gdy już tonem o milę odległym od sprawy, która go tu sprowadziła, zapytał, biorąc do rąk kapelusz:

— Nie wie pan, czy panna Janina w domu?

— A owszem, przed chwilą słyszałem ją jeszcze grającą — wyrzuciłem jak z procy.

Jeślim dopiero co złorzeczył w duszy pannie Janinie, że mię natchnęła tak śmiałą odpowiedzią na pytanie Smereckiego, teraz jużem ją znowu błogosławił. Dzięki niej uwolniłem się przecie z tej sytuacyi, gorszej od stania na rozżarzonych węglach.

W rzeczy samej niedługo potem dochodziła już uszów moich dosyć żywa wymiana słów między nią a Smereckim. Zamknąłem drzwi, aby nie podsłuchiwać mimowolnie, a ich nie krępować. Nie było mi tajnem, że dosyć głośny ich oddawna stosunek obfitował w dosyć sensacyjne momenty i przeto mógł dać pochop do scen trochę drażliwych. Mówiono wiele o jej miłości, którą on kiedyś podobno odwzajemniał. Kiedyś mieli się już nawet zaręczyć i na wieczorze u redaktorowstwa nie trudno było wyczytać im to z twarzy. Potem znów nastąpić miało zerwanie; on wyjechał, a ją posądzano o zamachy samobójcze.

Już nawet nie pamiętam wszystkich romantycznych epizodów jakie fama zawiesiła nad ich głowami. To pewna, że on nie wiedział sam, czego chce, i to opuszczał ją, to wracał. Redaktor zapatrzony w siebie i we własną kaletę, dosyć mało narzucał im swą interwencyę, tem bardziej iż szło mu zarówno o córkę jak i o Smereckiego, którego się w gruncie rzeczy bał potrosze, a przedewszystkiem taksował dosyć wysoko jego w naszem piśmie współpracownictwo.

W pół godziny później, słyszałem, jak otwierał drzwi i żwawym krokiem, zbiegał ze schodów. Nie wiem dla czego, ale byłem wówczas pewnym, że z nim i burza gwałtowa zjeżdża z drugiego piętra...

Przez cały miesiąc następny z śmiertelnym na czole potem chwytałem tygodniki, które zasilał Smerecki, przekonany, że w którym z nich znajdę w allegoryi, jednej z tych, któremi przeplatał moje artykuły, zjadliwe wyszydzenie mojej dyagnozy i wogóle mojej roli „zastępcy redaktora.“

Podobno — i temu doniesieniu dowierzać nie należy — regencya serbska ułożyła jakąś postać stosunków między rodzicami króla a nim, która zapobiegnie dalszym gorszącym zatargom. Natalia przebywać będzie u syna przez trzy miesiące, a resztę roku spędzać ma za granicą.

Garaszanin doszedł do przekonania, że daleko będzie dla niego bezpieczniej oczekiwać wyniku śledztwa i wyroku w sprawie o zabójstwo dwu kobiet (o co oskarżył go Milan) gdzieś za granicą, niż w kraju.

Skutkiem wiadomości otrzymanej od jednego z wychodźców, redakcya dziennika czeskiego, wychodzącego w Wirginii, *Hlas ludu*, wysłała sprawozdawcę Hirsa dla zbadania sprawy. Ten wykrył, że agent Rosenthal w Wirginii sprzedaje emigrantów po dwa dolary od sztuki przedsiębiorcom robót w West-Wirginia w górach, po przez które koleje Norfolk i Western w kierunku Ohio mają być przeprowadzone. Hirs znalazł tam 75 czechów, 30 polaków i żydów polskich prawie nagich, pokrwawionych, zbitych, strzeżonych przez dozorców i psy ogromne, wyuczone do polowania na ludzi. Wydalić im się nie wolno; opornych zakuwają w kajdany. Wychodźcę posądzonego o to, że pisał do redakcyi *Hlasu*, rozstrzelano. Za namową Hirsa kilkunastu zbiegło, zdoławszy uciec przed pogonią, prowadzoną przez Skinnona. *Hlas* rozpisał składki na oswobodzenie czechów.

ROZPORZĄDZENIA RZĄDOWE.

Prawit. Wiestnik ogłasza Najwyższy Reskrypt do generał-gubernatora finlandzkiego tej treści: „Po otwarciu z Mojego rozkazu sejmu finlandzkiego, marszałek kraju i talmani złożyli mi wiadomość o stanie zaniepokojenia ludności, wywołanym przez niektóre środki wskazane przeze Mnie, w celu osiągnięcia ściślejszego zjednoczenia Księztwa z innemi częściami państwa ruskiego. Tylko mylne tłomaczenie podstaw, na których opierają się stosunki Wielkiego Księztwa do Cesarstwa i do Władzy Najwyższej, mogło wyrodzić podobnie smutny objaw. Prawa i przywileje, odrębny ustrój kościelny i ustawy kraju nietylko zachowały dotąd swoją moc, ale w wielu częściach dalej się rozwinęły; tym sposobem losy Wielkiego Księztwa pod berłem ruskiem dowiodły, że zjednoczenie z Rosyą nie przeszkadzało swobodnemu rozwojowi miejscowych jego instytucyj, pomyślność zaś, jaką osiągnęła Finlandya, świadczy niezaprzeczenie o tem, że takie zjednoczenie odpowiada własnym jej korzyściom. Pomimo to niezgodność niektórych postanowień Finlandyi z ogólnemi prawami państwowemi i niedostateczna ścisłość ustaw, dotyczących stosunków Wielkiego Księztwa względem Cesarstwa, dają, niestety, powód do opacznego pojmowania rzeczywistego znaczenia środków, przedsiębranych dla osiągnięcia celów, wspólnych wszystkim częściom państwa ruskiego. Mam jednak nadzieję, że roztropność ludu fińskiego rozproszy ten błąd, a prawidłowe rozumienie własnych korzyści pobudzi go do dążenia ku większemu umocnieniu węzłów, łączących Finlandyę z Rosyą. Polecam wam oświadczyć w Mojem imieniu Moim wiernym poddanym w Finlandyi, że jestem skłonny okazywać ludowi fińskiemu dawną przychylność, troskliwość i zaufanie, przestrzegając nadanych mu przez Monarchów ruskich praw i przywilejów i że w zamiarach Moich nie leży zmieniać podstawy istniejącego w kraju porządku zarządu wewnętrznego. Wierzę w wyrażone Mi przez marszałka uczucia wiernopoddańcze stanów kraju, serdecznie za nie dziękuję i mam prawo spodziewać się po przywiązaniu do Mnie ludności Finlandyi jednomyślnego współdziałania dla urzeczywistnienia Moich zamiarów, zmierzających do umocnienia związku państwowego Finlandyi z Cesarstwem."

Generał-gubernator moskiewski, ks. Dołgorukow ustąpił ze swego stanowiska, które po nim zajął Jego Cesarska Wysokość Wielki Książę Sergiusz Aleksandrowicz.

BADANIA NAUKOWE.

POGLĄDY SPOŁECZNE TECHNIKÓW.

Ciekawa rzecz, jak badania, prowadzone zgoła niezależnie i w dziedzinach najzupełniej odrębnych, lecz oparte na samodzielnych i źródłowych poszukiwaniach, wydają podobne rezultaty i jednakie pojmowanie sprężyn rozwoju — w danym razie socyologicznego. Mianowicie mamy na myśli studya znanego technika wiedeńskiego, Emanuela Herrmanna. Wykłada on w wyższej szkole technicznej w Wiedniu; między innemi miewa od r. 1883 odczyty publiczne przed szerszemi kołami słuchaczów. Zmuszony do dbania o treść zajmującą, czyni on wycieczki w dziedzinę zjawisk społecznych, które oświetla naturalnie z odpowiedniego punktu widzenia. Wyniki, do których doszedł, streszcza w ostatniem swem dziele w sposób następujący. „Głębsze zbadanie podstaw techniki powinno być obowiązkiem dla każdego wykształconego człowieka, gdyż technika jest powołana do stania się najważniejszą sferą działalności ludzkiej; zarówno bowiem państwo, jak i społeczeństwo muszą uledz jej potędze. Jedynie ona zdoła rozwikłać kwestyę społeczną i niedomagania gospodarcze chwili bieżącej... Przewrót, odbywający się w zakresie ekonomiczno-technicznych podstaw kultury, prowadzi do tego, aby zamienić cały glob ziemski na jeden sztuczny, olbrzymi organizm, zorganizowany planowo pod względem techniczno-ekonomicznym." Historya powołała technika — powiada Herrmann w innem miejscu — do przełamania starodawnego ustroju klasowego z jego arystokracyą umysłową. Stoimy na progu nowego porządku rzeczy — okresu zwycięzkiej techniki. Nowa organizacya produkcyi, wolna od forteli spekulacyjnych, cechowości rzemiosła lub monopolu wielkiego przemysłu, winna powściągnąć wzajemnie walczące warstwy z ich dążnościami samolubnemi i zjednoczyć we wspólnej działalności dla pożytku ogólnego. Autor rozpatruje, jak jedne formy społeczne przekształcają się na inne, jak pierwotny ustrój teokratyczny lub najezdniczo - zaborczy przechodzi w militarno - biurokratyczny, a następnie w mieszczański, i wypowiada nadzieję, iż z biegiem czasu musi ukazać się nowy ustrój — „państwo techniczne."

W swoich wykładach wypadało Herrmannowi bezustannie kreślić rozwój techniki wraz z wywoływanymi skutkami w zakresie stosunków ekonomicznych i ogólnospołecznych. W ten sposób powstały bądź większe prace, bądź broszury: *Byt i rozwój w czasie i przestrzeni — ze stanowiska ekonomicznego*, *Rodzina z punktu widzenia ogólno-gospodarczego*, *Pytania i zagadnienia techniczne tegoczesnego gospodarstwa naro-*

Otucha we mnie wstąpiła dopiero wtedy, gdy jeden z tygodników doniósł, że Smerecki na dłuższy czas opuścił kraj.

— Krzyżyk na drogę! — szepnąłem.

Rzecz dziwna jednak. W sobie samym radości z tego powodu nie czułem, a natomiast coś w rodzaju lekkiej za nim tęsknoty i litości. Podobny pociąg muszą ludzie uczuwać dla — tułaczów. Bo co do mnie, to nie wątpiłem ani na chwilę, że był to moralny tułacz...

Jak wszystkie natury miękie i zniewieściałe, miewałem instynkta, które mię nie oszukiwały nigdy, i one to szeptały mi, że się ten jegomość rozbije gdzieś, na otchłaniach życia, jak łódź bez steru...

* * *

Przez dwa lata nic prawie o Smereckim nie słyszałem. Tyle jeno wiadomo było, że się wałęsał po różnych kątach zachodu i południa. Ktoś zapewniał mię, że widział go raz, zmienionego do niepoznania, na pogrzebie panny Janiny. Muszę bowiem dodać, że biedaczka umarła z tęsknoty za Smereckim, gdy dowiedziała się, czy też wywnioskowała na pewno, że tego niespokojnego ducha nie zdoła przywiązać do siebie na zawsze.

Ostatnie jej tchnienie odebrał chyba fortepian. Przy nim, rzec można, skonała, a jeśli nie, to z pewnością przy jego pomocy. Gdy bowiem nieszczęśliwy ów klawisz został naprawiony, grała jeszcze więcej, niż przedtem. Już nie z furyą, nie rozpaczliwe sonaty, ale cichym bólem nabrzmiałe elegie. W końcu strawiona ukrytem cierpieniem, nie miała już siły na żadne *con brio fortissimo*...

Mojego redaktora śmierć Janiny nie wytrąciła z równowagi. Parę dni z rzędu deklamował coś o czarnej niewdzięczności Smereckiego, domyślałem się jednak, że nie tyle bolała go strata jedynej córki, ile pożytecznego i niezwykle zapalonego współpracownika, który miał przytem zaletę niechętnego liczenia się z groszem.

Po latach dwóch siedziałem znowu przy tem samem biurku, znowu zastępując swego chlebodawcę. Nudno się wlokła robota. Na opuszczonym w salonie fortepianie nie grała już samotnica. Byłem zresztą spokojniejszy; nie szarpała mię już rozdarta dusza Beethovena. Choć tego spokoju ustąpiłbym komu za jeden, jedyny nocturn...

Pustka sieroctwa wiała mi w samo serce ze wszystkich opróżnionych dziś z ducha ludzkiego komnat.

Po dawnemu wertowałem świeże książki, cenzurowałem korespondencye, apatyczny, rozziewany. Koperty szły same do moich rąk jak do maszyny i wypadały z pomiędzy wielkich redaktorskich nożyc, z poobcinanymi brzegami. Jedna z nich, bardzo gruba, zwróciła moją uwagę. Rzuciłem okiem na adres, ręka Smereckiego! Podskoczyłem na fotelu, jak gdyby rzucony prądem galwanicznym. Rozerwałem list i obok zwięzłego liściku znalazłem rękopisy dwu utworów z powieściowymi tytułami. Uderzyło mię odrazu, że były czytelne, wyraźne, spokojne.

Nie przeglądałem ich, ale chłonąłem. Był tam śmiech wymuszony i silenie się na wesołość, tylko że z pomiędzy wierszy wyzierała twarz człowieka, w którego katusza życia wpiła się wszystkimi swoimi szponami. Niechże go licho! Co za straszna, piorunująca egzaltacya! Potem czytałem raz jeszcze; zrobiłem adnotacyę niebieskim ołówkiem i zadzwoniłem. Wszedł lokaj, któremu kazałem zanieść rękopis natychmiast do drukarni...

Upłynął znowu jakiś czas. W miesięczniku, dosyć wybrednym, wydrukował Smerecki elegię, w rywalizującem zaś z nami piśmie — humoreskę zgrzytliwą i cyniczną, jak djabelski chichot.

W kilka dni później ujrzałem na swem biurku kartę wizytową Smereckiego. Aż gwizdnąłem z sensacyi i radości. Nazajutrz, wcześniej niż zwykle, siedziałem w gabinecie redaktora, pałając niecierpliwością. Liczyłem prawie minuty.

Nadszedł wreszcie. Bah, nie byłem nawet pewien, czy to on i pobiegłem ku drzwiom naprzeciw. Tak, to był on. Uśmiechnięty, wyciągnął do mnie dłoń; pochwyciłem ją oburącz i ściskałem mocno, ale nie

dowego *). Widzimy tutaj przeszłość i teraźniejszość w zgoła nowem oświetleniu. Co Morgan uczynił dla okresu dzikości i barbarzyństwa, to samo Herrmann podejmuje dla różnych epok osiadłego społeczeństwa. Przed czytelnikiem przesuwają się obrazy pojedynczej a naturalnej osady, gospodarstwa obwodowego, prowincyonalnego, krajowego, wreszcie wszechświatowego z narzędziami i metodami produkcyi, istniejącymi przemysłami oraz wielkością wymiany. Podobnie idą po sobie technika ustrojów kapłańskiego, najezdniczo-zaborczego, militarno-biurokratycznego i sama organizacya społeczna znajduje się w związku jaknajściślejszym z podstawami technicznemi każdej epoki. Nader ciekawe są ustępy, rozpatrujące ukształtowanie rodziny w zależności od warunków techniczno-ekonomicznych: jej stałość za czasów gospodarstwa naturalnego i rozprzęganie się tegoczesne, kiedy otoczenie ekonomiczne uległo gwałtownej zmianie. Lecz kiedy Morgan jest z gruntu socyologiem, Lippert historykiem kultury, Loria i Marx — ekonomistami, Colajanni — antropologiem i naturalnie kiedy owe czynniki techniczno-ekonomiczne doznają u nich stosunkowo małego uwzględnienia — jedynie jako źródło zmian społecznych, Hermann rozpatruje procesy społeczne jedynie jako unaocznienie wpływów techniczno-ekonomicznych. Wszędzie jednak mamy do czynienia z tem samem pojmowaniem rozwoju społecznego, mimo bardzo odmiennych stanowisk partyjnych, z jakich owi autorzy patrzą na zjawiska dziejowe. Ażeby rozejrzeć się w wywodach Herrmanna, weźmiemy najbardziej nadającą się do tego pracę, mianowicie *Byt i rozwój w czasie i przestrzeni*, a zajmiemy się skreśleniem zasadniczego punktu widzenia. Mimochodem zaznaczymy, że praca ta doczekała się oceny w jednym z ostatnich zeszytów *Wiestnika Jewropy*. Naturalnie nie idzie nam o zanotowanie tego faktu, lecz jedynie o zwrócenie uwagi na tytuł, który nadał autor, prof. Janżuł, swemu artykułowi, będącemu częścią streszczeniem, częścią oceną krytyczną. Nagłówek ów brzmi: *Psychologia ludów*...

Na czem więc polega ów przyczynek Herrmanna do psychologii ludów? Otóż kiedy metafizycy rasowości szukają klucza do dziejów narodu oraz jego charakteru w mistycznej „duszy rasowej,“ uczony technik wiedeński przywołuje ich do porządku i udowodnia, że owa „dusza“ z wszelkiemi „właściwościami duchowo-rasowemi“ jest tylko odpowiedzią organizmu ludzkiego na warunki techniczno-gaspodarcze bytu społecznego. Pomińmy epoki wcześniejsze i weźmy już osiadły tryb życia. Herrmann usiłuje skreślić jego dzieje ze stanowiska zaoszczędzania czasu i przestrzeni i odpowiednio wyróżnia okres pierwotny ekstenzywnego oszczędzania czasu i późniejszy — intenzywnego. Człowiek pierwszego okresu, w porównaniu z dzikim myśliwcem, przewidywania swoje rozszerzył na względnie daleką przyszłość, lecz praca jego odbywa się jeszcze wolno. Oszczędzanie przestrzeni nie jest znane, domy są np. parterowe, czyli, jak mówi Herrman, zajmują jeden tylko horyzont. Wyjątek stanowią miasta, gdzie piętra leżą nad sobą, bez podwórzy, z wązkiemi uliczkami, jak to spotykamy w każdem miasteczku średniowiecznem. Było to jednak koniecznym warunkiem bezpieczeństwa publicznego, gdyż im miasto przy tej samej ludności zajęło mniej przestrzeni, tem obrona murów była łatwiejsza. Tymczasem w okresie oszczędzania intenzywnego przestrzeń, przypadająca na każdego człowieka, staje się mniejszą, robota bardziej natężoną zarówno w produkcyi, jak i przewozie. Ilość wytwarzanych produktów w pewnej jednostce czasu wzrasta niepomiernie. Ażeby dostarczyć spożywcom dzienny nakład *Figara* paryskiego przy pomocy środków technicznych z epoki rzymskiej, zamiast dzisiejszych 100 ludzi, trzeba byłoby użyć 500.000 przepisywaczów. Zwłaszcza uderza szybkość życia. Kiedy w r. 1872 pożar zniszczył Berlin na przestrzeni 10 akrów, już po roku czasu nie było najmniejszego śladu klęski. W Stanach Zjednoczonych życie idzie jeszcze szybcej. W r. 1871 spaliło się $17\frac{1}{2}$ tysięcy domów w Chicago, między nimi 16 teatrów i 41 kościołów. Nie minęły trzy lata, a klęska została powetowana. Zabudowywanie w okresie od 15 kwietnia do 15 grudnia szło tak prędko, że przeciętnie codziennie wznoszono jeden nowy czteropiętrowy dom!

Albo zatrzymajmy się nad porównawczem zestawieniem prędkości ruchu. Jako wyjątkowo szybkie pochody uważano w starożytności marsz Cezara z Rzymu nad brzegi Rodanu i podróż Icelusa z Rzymu do hiszpańskiego miasta Clunia; pierwszy trwał dni 8, drugi 7. Dzisiaj tę drogę można odbyć w przeciągu 29 godzin. Gdyby anglicy w swych podróżach po Wielkiej Brytanii korzystali z rzymskich środków komunikacyjnych, w sumie traciliby 125 tysięcy lat czasu rocznie. Tymczasem ta olbrzymia liczba czasu jest czystą wygraną dzisiejszego okresu dziejowego. Otóż Herrmann usiłuje wykazać, iż całe dzieje kultury można sprowadzić do dziejów metod technicznych, pozwalających na coraz większe oszczędzanie czasu, podobnie jak antagonizmy pomiędzy odrębnemi kulturami lub różnice charakteru narodowego są niczem innem, jak starciami wzajemnemi rozmaitych sposobów oszczędzania czasu. W tym względzie „wschód“ azyatycki a „zachód“ aryjski, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, występują w silnej względem siebie przeciwstawności. Przypatrzmy się — mówi nasz technik — ruchowi na ulicach New-Yorku. Tłumy nie idą, lecz wprost biegną chodnikami, mnóstwo wozów, furmanek, dorożek uwija się w różne strony. Potok ludzki w niektórych skrętach lub przy spotkania się kilku ulic skacze i wprost bieży. Dodajmy, że po nad ulicami idą napowietrzne drogi żelazne. Nadaremnie poszukiwalibyśmy gapiów przed wystawami sklepowemi, gdyż potok ludzi zepchnąłby ich. Tłumy stołują się w hotelach i restauracyach; każdy spożywa obiad w kilka minut i pędzi dalej. Koleje żelazne posiadają własne restauracye i sypialnie w pociągu, byleby tylko wprowadzić oszczędność czasu. Hotele są budowane w pobliżu stacyj kolejowych z tego samego powodu. Całe urządzenie hotelu troszczy się, aby jaknajbardziej zaoszczędzić czas. W szkole zwraca się sporo uwagi na „wymustrowanie“ malców, tak, aby przyzwyczaili się do szybkiego działania i szybkiego zrozumienia. Ratzel wprost mówi, że prędkość amerykańskiego dyktanda lub rozwiązywania zadań arytmetycznych przewyższa wszelkie pojęcie i byłaby niemożliwa dla ucznia ze szkół niemieckich. Czternastoletni malec staje się samodzielnym człowiekiem, w wieku lat 22—24 zajmuje niekiedy bardzo wysokie stanowisko w społeczeństwie. Zmiana zawodu jest zadziwiającą: generał rzuca się do adwokatury, pułkownik występuje jako kaznodzieja, zecer zajmuje katedrę uniwersytecką. Wszelkie nici z przeszłością zostają zerwane. Człowiek oddycha

*) *Sein und werden in Raum und Zeit, wirtschaftliche Studien*, 1889. *Die Familie vom Standpunkte der Gesammtwirthschaft*, 1889. *Technische Fragen und Probleme der modernen Volkswirthschaft*, 1891.

---

rzekłem ani słówka, bo i jakżebym mógł coś powiedzieć, skoro cały mój mózg wysilał się na to, ażeby powstrzymać głupie, cisnące się do oczów łzy...

Pociągnąłem go na krzesło. Sapał jeszcze zziajany. A ja tymczasem wżarłem się w niego spojrzeniem. O, mamo naturo! Jakże ty umiesz obchodzić się ze swojemi dziećmi! Blady był bardzo: oczy miał głębiej osadzone niż dawniej; źrenice mocno rozszerzone. Czoło podniosło się nieco, już zlekka pobrużdżone zmarszczkami; nad uszami połyskiwały srebrnawe nici, policzki wpadłe uwydatniały jeszcze więcej potężnych rozmiarów nos.

Zaledwie się zdobyłem na kilka konwencyonalnych pytań o zdrowie, porę przyjazdu itp. Odpowiadał rzeźko, prawie wesoło, a kiedym zlekka dotknął jego nieobecności i podróży, puścił wodze wyznaniom. Siedziałem zgięty we dwoje i pochylony ku niemu, chwytając słowa w lot. Skarżył się; odgadłem trafnie: boleść zdążyła wpić się w niego wszystkimi swoimi szponami. Śmierć Janiny rzuciła go na łoże. Leżał parę dni w febrze i silnej gorączce. Gdy ozdrowiał, chciał się powiesić; potem usypiał zgryzoty winem; dręczył się wyrzutami sumienia, a potem znów hulał, wmawiając w siebie, że dobrze się stało, iż umarła dziewczyna, którą kochać chciał i szanował, ale której kochać jak inni nie mógł, bo go gnały po świecie furye. Pisał niekiedy po osiem godzin dziennie, ażeby później spalić wszystko; potem rwał na głowie włosy z rozpaczy, że spalił. Kiedy był na oceanie, szalał z tęsknoty za krajem i chciał się rzucić w morze. Gazety przynosiły mu ze stron rodzinnych truciznę i na całe tygodnie pogrążały w czarną melancholię...

Mówił bez przerwy i, zdało się, bez końca; wyrazista jego i przedziwnie wrażliwa twarz kapitalnie ilustrowała spowiedź. Słowa jego brzmiały w moich uszach jak oddalone echo burzy, echo boleści bezbrzeżnej i bezdennej, ale teraz już widocznie ukołysanej i zrezygnowanej. Harpiom się nie dał: zawarł z niemi przymierze wieczyste. Nie zliczyłbym tych wszystkich smutków i goryczy, w których nurzał się cały teraz jeszcze, widząc moją rozognioną ciekawością twarz. Patrzyłem bo też na niego z uwielbieniem, ale więcej jeszcze z podziwem. Gdyby mię chciał kto poczęstować taką girlandą mąk, wolałbym beknąć odrazu. Nie nadaremnie odgadywałem w nim tułacza. Będzie on teraz wędrował bez spoczynku; namaszczono go na pielgrzymkę porządnie. Stamtąd, gdzie on przebywał myślą i uczuciem, już się nie wraca ze spokojem. Zachciało mu się piekła; rozkiełznał nerwy i wyobraźnię i ujrzał głowę meduzy i będzie ją widział do samej śmierci. Dziś już niema Wirgiliuszów, coby zakrywali jej widok. Kto tak jak on zaostrzył sobie wzrok i czucie, ten nie prędko utnie sobie drzemkę błogosławionego.

Ha! Możem się zresztą mylił? Przecie z tej trupiej jego bladości wyzierała bądź co bądź siła i hart. Bo ja wiem...

Jednak, ilekroć spojrzałem na zaklęsłe jego policzki i siwiejące przedwcześnie skronie, przypominał mi się, nie wiem dla czego, Chrystus Rubensowski, poczerniałem ciałem zwisły na krzyżu, w noc samotną, ciemną, na pustej Golgocie, oświeconej tylko chorobliwie żółtem światłem jakichś zabłąkanych po zgonie słońca brzasków.

Zmęczony urwał przecie. Zmrok już zapadł na dobre, ale nie przerywałem milczenia. Szkoda mi było własnej swej i jego zadumy; czułem się szczęśliwym, że mię powiernikiem swoim zrobił. Snadź odgadł we mnie życzliwą duszę wiernego psiaka:

Poruszył się wreszcie i z pogodnym dosyć uśmiechem zapytał:

— No, jakże pan teraz znajdujesz moje utwory?

— Powiem panu, ale pod warunkiem, że nie będziesz szydził: ów zepsuty w panu klawisz — naprawiony.

? ?

teraźniejszością i śmiało zagląda w bardzo odległą przyszłość. Wiara we własne siły nie zna żadnych granic. Wraz z poczuciem tradycyi historycznej zaciera się zmysł estetyczny. Zgoła innym jest charakter człowieka oraz życia zbiorowego na Wschodzie. Kiedy zasadą na Zachodzie jest „czas to pieniądz," tutaj rządzą się poglądem, że „co nagle, to po djable." Zdaje się, iż całe społeczeństwo wschodnie oddycha tą błogą myślą, iż nie należy robić tego dzisiaj, co może być zrobione jutro. Oszczędzanie przestrzeni lub czasu są nieznane na Wschodzie. Pozdrowienie u yanke'ów jest krótkie i węzłowate, azyaci zaś witają się i żegnają długiemi ceremoniami, zgoła niepotrzebnemi, a będącemi jedynie wypowiedzeniem czczych frazesów. Ludzie stają się samodzielni dopiero w późnym wieku, lecz i wtedy przez całe życie ciąży nad niemi zmora ubiegłych pokoleń w postaci kultu przodków. Zmysł historyczny jest silnie rozwinięty i pozbawia jednostkę wszelkiego zaglądania w przyszłość, czyni ją bierną, każe wszędzie widzieć fatalizm. Zamiast krytyki panuje wszędzie zasada powagi. Nawet pokarmy są odmienne. Wśród przedstawicieli okresu intenzywnego mięso występuje na plan pierwszy, tymczasem u ludów epoki ekstenzywnej pokarmy roślinne grają najgłówniejszą rolę. Herrmann z tego powodu zauważa, że kto odżywia się i patrzy na czas według wzorów wschodnich, ten nie może myśleć po zachodniemu, tj. jasno, dobitnie i prędko.

Wspomniane dwa okresy nie tylko istnieją jeden na Wschodzie, drugi na Zachodzie, lecz w mniejszym lub większym stopniu wszędzie w całej niemal Europie. Do grupy ekstenzywnej należy chłopstwo, rzemiosło, drobna produkcya, a walka tych warstw z wielkim kapitałem jest znowu tylko inną postacią wzajemnego antagonizmu pomiędzy różnymi sposobami oszczędzania czasu.

Brak miejsca nie pozwala nam wdawać się w szczegóły, jakkolwiek w tym razie posiadałyby bardzo wielkie znaczenie. Są one jakby żywem ciałem i żywą krwią, tymczasem kiedy to, cośmy przedstawili powyżej, jest jedynie szkieletem. Wskazaliśmy jedynie podstawy, na których oparł autor swoją probę uklasyfikowania kolejnych ustrojów społecznych według metod technicznych oszczędzania czasu i przestrzeni. Musimy przytem zaznaczyć, iż wzięliśmy tylko jedną jego pracę. W innych, do czasu i przestrzeni dorzuca stopień każdorazowej ścisłości technicznej w wykonaniu przedmiotu itd. Całość tych szczegołów dopiero daje obraz wyrazisty pewnej kultury technicznej i w ciągu dalszym — cywilizacyi umysłowej i społecznej wraz z własnym charakterem duchowym. Wartoby też było zatrzymać się nad spojrzeniami w przyszłość rodu ludzkiego i charakteru osobniczego, jakie tu i owdzie rzuca technik wiedeński. W tym obrazie dalekiej epoki nie chodzi mu o to, jakie ukażą się techniczne narzędzia, podobne przepowiednie uważa on za fantastyczne i nienaukowe. Lecz o szybkość przewozu i komunikowania się ludzi, o ścisłość wyliczeń i wyrobów, o wydajność pracy ludzkiej, jakość używanych surowych materyałów, kultury zwierząt. Żartobliwie powiada, że zapałki są wskazówką przyszłości. Jeśli anglik dziennie zapala 8 zapałek, zużywa na to 15 sekund, tymczasem kiedy przodek, ktory potrzebował krzesiwa, marnował dziennie aż kwadrans. Otóż roczna oszczędność z tego powodu w Anglii, jeśli obliczymy ją na pieniądze (1¼ szyl. za dzień pracy), jest warta 520 milionów szylingów. Czem są zapałki w porównaniu z przeszłością, tem przyszła chwila będzie w zestawieniu z teraźniejszością. To wyzwolenie techniczne człowieka z pod jarzma czasu stanie się fundamentem wszechstronnego rozwoju jednostki ludzkiej.

K. R. Zywicki.

HISTORYA DRAMATU HISZPAŃSKIEGO.

Wybitne stanowisko, jakie dramatowi hiszpańskiemu przypada w piśmiennictwie wszech ludów i czasów, uznane i pojęte dziś zostało przez najszersze koła ludzi wykształconych, podczas gdy dawniej chyba historyk, oglądający się za „odkryciem," lub poeta, szukający wzorów, zajmował się dramatyczną literaturą hiszpańską. Wiadomo, że Goethe, a bardziej jeszcze Grillparcer wiele zawdzięczali wrażeniom, zaczerpniętym z tego źródła. Ostatni poświęcił przedmiotowi temu osobną rozprawę, ciekawą i pouczającą jako zbiór uwag, lecz nieposiadającą cech wytrawnej pracy historyczno-literackiej. Dzieło Schacka o dramacie hiszpańskim, choć gruntowniejsze, zawiera mnóstwo niedokładności. W Hiszpanii samej istnieją liczne monografie, lecz nikt tam nie zdobył się jeszcze na napisanie wyczerpującej historyi dramatu narodowego. Zadania tego dokonał niemiec. Dzieło Adolfa Schäffera (*Geschichte des spanischen Nationaldramas*), wydane przez Brockhausa w Lipsku, opracowane zostało na podstawie całego niemal materyału monograficznego i uzupełnia luki badaniami własnemi.

Krytyka ściśle naukowa zarzuca autororowi, że nie wyczerpał całego przedmiotu, tj. że nie zajmował się wcale przedstawieniem owych epok dramatu hiszpańskiego, które nie mają wyższego znaczenia dla historyi literatury powszechnej. Lecz w oczach zwykłego czytelnika jest to zaletą książki Schäffera, iż kreśli on dzieje klasycznej epoki, jej poprzedników i następców, zwłaszcza skoro uwzględnimy, jak olbrzymią jest ilość dramatów hiszpańskich, o ile obfitość produkcyi hiszpańskiej w tej sferze przewyższa dramatopisarstwo innych ludów. Gruntowne zapoznanie się z najdonioślejszym okresem twórczości narodu wystarcza potrzebom wykształconego czytelnika, a nawet historyka literatury. Schäffer dzieło swe przeznaczył właśnie dla takich czytelników.

Z całą gruntownością zajmuje on się utworami, które wyprzedzają okres klasyczny i stanowią klucz do zrozumienia ich właściwości. Ogranicza się w podawaniu materyału biograficznego, tem sumienniej za to rozbiera same utwory i indywidualność poetycką ich autorów. Z tego, cośmy dotychczas powiedzieli o jego pracy, domyślać się już można, że najświetniejszą częścią jej są ustępy, poświęcone Lopemu i Calderonowi. Istotnie Schäffer w opracowaniu tych poetów jest pod wieloma względami oryginalny, zebrawszy materyał, jakim żaden z badaczów przed nim nie rozporządzał. Nadmieniamy, iż od lat wielu zajmując się literaturą hiszpańską, zgromadził w Hiszpanii bogatą bibliotekę fachową, jaką żaden może zbiór europejski poszczycić się nie może, gdyż nawet księgozbiory hiszpańskie nie odznaczają się systematycznością.

Lope de Vega, autor 2,000 utworów, które nietylko dla poetów hiszpańskich, ale i dla francuskich stanowiły niewyczerpaną skarbnicę tematów i charakterów, sam jeden więcej nastręcza trudów, aniżeli cała literatura dramatyczna ludu mniejszego. Twórczość jego była przełomową we wszystkich gałęziach dramatopisarstwa, a wobec związków faktycznych, zachodzących między utworami późniejszymi (nie wyłączając Calderona) a dziełami Lopego, ocena wpływu jego na piśmiennictwo hiszpańskie stanowi również pracę herkulesową.

W mniejszych rozmiarach spełnić musiał Schäffer podobne zadanie, przystępując do przedstawienia twórczości Calderona i jej wpływu. Zadaniu temu poświęcony jest tom drugi dzieła. Z największem zajęciem śledzi czytelnik wywody autora o stosunku Calderona do Lopego; szczegółowe, wyczerpujące porównanie, dokonane przez takiego znawcę, jest istotnie pouczające. W końcu nadmieniamy, iż Schäffer dołączył do dzieła swego spis wszystkich dramatów przezeń rozebranych, tak, iż historya ta oddaje zarazem usługi słownika, umożliwiającego dokładne zapoznanie się z tym lub owym utworem bez szczegółowego studyum całej twórczości jego autora.

L.

LITERATURA I SZTUKA.

LISTY WIEDEŃSKIE

14 marca.

Ryszard Voss i powodzenie jego w Wiedniu. — Z autobiografii jego. — „Schuldig" najnowszy jego dramat.

Wiedeń nie może obyć się bez poety, którego by obsypywać mógł wawrzynami i zaszczytami. Po śmierci Grillparcera Wilbrandt i Bauernfeld walczyli o palmę, „pierwszego poety stołecznego"; Wilbrandt po kilku latach opuścił Wiedeń, Bauernfelda pogrzebano pod górą wieńców. I znowu prasa i towarzystwo wiedeńskie zaczęły rozglądać się za poetą... odkryły go wreszcie w Ryszardzie Vossie, wybornym nowelliście niemieckim, pisującym mierne dramaty. W ostatnich dwóch latach wystawił on w Berlinie z powodzeniem dwa dramaty współczesne: „Aleksandra" i "Ewa." Powodzenie to zawdzięczały one swemu charakterowi: niby realistyczne, niby z francuska przykrojone, tchnęły w gruncie rzeczy sentymentalnością niemiecką. Wiedeński „Deutsches Volkstheater," chętnie przyjmujący sztuki o pozorach realistycznych, utorował Vossowi drogę w Wiedniu, wystawiając oba jego utwory. W czasie tym autor, cierpiący oddawna, popadł w chorobę umysłową i oddany został do domu obłąkanych. Lecz cierpienie ustąpiło, a Voss, człowiek w kwiecie wieku, wrócił do świata z osiwiałą zupełnie głową. Na cześć jego pobytu w Wiedniu wystawiono sztuki. Autor dziękował publiczności, a srebrne pukle, spadające na czoło, zdobyły mu od razu serca. Odtąd reporterzy codziennie rozwodzili się o „srebrnowłosym poecie," panna Sandrock, bohaterka „Volksteatru," zaszczycała go swą łaską, a wreszcie i *Neue freie Presse*, szafująca tu urzędową niejako sławą, uchyliła głowy przed zajmującym poetą i uprosiła go o szkic autobiograficzny dla fejletonu. Voss zrozumiał położenie i sięgnął po berło poety wiedeńskiego: czy ono pozostanie w ręku jego dłużej, niż rok jeden, wątpimy.

W aurobiografii opowiada, że nie jest obcy w Wiedniu. Urodzony w Niemczech północnych, ginął wśród ciasnych stosunków i blizkim był samobójstwa, kiedy Adolf Wilbrandt dopomógł mu przenieść się do Wiednia. Voss przybył jako młody człowiek, pozbawiony wszelkich środków i zamieszkać musiał na dalekiem przedmieściu. Autobiografia jego, przepełniona obrazami i cała otulona mgłą poezyi, daje do zrozumienia czytelnikowi, że młody wieszcz przybywał na przyjęcia Henryka Laubego z obuwiem obłoconem, nie miał bowiem funduszów dostatecznych, aby jechać omnibusem. Wilbrandt wprowadził go na próby sztuk swych w Burgteatrze. W półcieniu kulis uczuł tu Voss ową żądzę gorącą, która piersi jego rozpalała odtąd przez życie całe: żądzę pisywania dramatów i zbierania oklasków. „Gdybym miał żyć lat dziesięć, poświęciłbym je, aby raz jeden okupić sobie niemi tę rozkosz najwyższą".

Oto więc typ owego poety nowoczesnego, dla którego oklaski teatru są celem życia i rajem ziemskim, a którego niepowodzenie

przyprawiło o szaleństwo... Jakże mało w nim ducha filozoficznego, i jak mało pierwiastku nieśmiertelnego...

Nie udało się Vossowi w Wiedniu za pierwszym występem. Wprawdzie tragedya rzymska, w starym napisana stylu, uwieńczona została nagrodą na konkursie; wprawdzie Wilbrandt, zostawszy dyrektorem Burgteatru, przyjął pracę Vossa, lecz spoczywała ona w archiwum teatralnem, a dziś dopiero dyrektor Burkhard na cześć „srebrnowłosego" poety wydobył ją i zamyśla wystawić.

Voss wrócił do Niemiec. Powiedziano mu tam niebawem, że może zostać nowelistą pierwszorzędnym. Lecz gniewało go powodzenie nowel bardziej jeszcze, aniżeli niepowodzenie dramatów. Niezmordowany próbował szczęścia na scenie, przerzucając się z jednej szkoły literackiej do drugiej, aż wreszcie zdobył palmę...

Gonitwę tę opłacił chorobą umysłu. Lecz dziś, bardziej niż kiedykolwiek, czuje powołanie dramatopisarskie i w świeżem uniesieniu napisał dla Volksteatru dramat p. t. „Schuldig," który krytyka przyjęła nie bez pewnego chłodu. „Winny," jest udramatyzowaniem skutków zbytniej pochopności sądów do wydawania wyroków potępiających. Tak zwany „Justizmord" częstokroć już służył jako temat dla dramatów sensacyjnych. Wilbrandt zebrał najobfitsze tantjemy podobną sztuką („Córka Fabrycjusza"). Lehr, bohater sztuki Vossa, skazany na więzienie dożywotnie za rzekome morderstwo, po dwudziestu latach odzyskuje wolność dzięki wyznaniu, uczynionemu przez właściwego zabójcę na łożu śmiertelnem. Żona jego tymczasem znalazła „przyjaciela," a dzieci najgorszą poszły drogą. Lehr wraca do rodziny i widzi skutki rozbicia jej, spowodowanego uwięzieniem jego, i w rozpaczy rzuca się na Kremera, przyjaciela żony, i zabija go; tym razem istotnie popełnia zabójstwo. I najnowsza sztuka Vossa ma więc owe cechy kompromisu literackiego: zakrawa niby na realistyczny dramat społeczny, malujący sferę zdemoralizowaną, a w gruncie rzeczy wzrusza oklepanymi motywami. Mimo chłodnego zachowania się krytyki, autor po wystawieniu tej sztuki objął niejako rządy poetyckie w Wiedniu i ogłosił „manifest" w formie listu do dyrektora Volksteatru, Bukowicza. Z przesadą prawdziwie poetycką unosi się nad „niezrównanymi" tworami artystów, wspominając o zasłudze najpodrzędniejszych nawet aktorów, i zwraca się przeciw krytyce wiedeńskiej, która ośmieliła się zganić to i owo w ich grze. Naturalnie, że podobny objaw obłędu wielkości oburzył większość krytyków wiedeńskich. „Srebrnowłosy" poeta, który jeździ na „sukcesie" i „sukcesem" pogania niebawem może wyjdzie z bram Burgteatru, do którego wzdychał przez życie całe, i załamując ręce, szepnie zrozpaczony: *Sic transit gloria mundi!*

Stwosz.

LITERATURA POLSKA.

A. Niemojewski, *Poezye prozą*, Kraków, 1891.

Z kwiatów poezyi, jakie wystrzeliły na naszym opoczystym gruncie, możnaby już upleść sporą wiązankę. Niedawno ogłosił Franciszek Nowicki swoje misterne „Poezye" (Lwów). Za nim poszedł A. Niemojewski („Poezye," Kraków, 1891), a obecnie wychodzi nowy zbiorek rymów J. Kasprowicza („Z chłopskiego zagona," Lwów).

Najmłodsze to pokolenie, do którego po części zaliczają się drukowane w Krakowie wiersze Tetmajera, wywiesza wśród krwawych o byt swój zapasów sztandar odrodzonej idei demokratycznej. A tak nie popłacają ideały ich, przystrojone w odświętne suknie poezyi, wychodzącej już z mody, że nie znaleźli dla swych „Kopciuszków" przytuliska u żadnego z „naszych wielkich" nakładców, zasypujących towarami dnia rynki literackie. W podobnych warunkach bez kumów księgarskich otrzymały chrzest „Poezye prozą" Niemojewskiego, ilustrujące metodą nauki poglądowej kierunek i dążenia najmłodszej dziatwy Apolina.

Fantazya poety średniego polotu, zapalająca się goręcej pod wpływem niedoli społecznej, albo widokiem wzburzonych żywiołów przyrody, oddaje tu w prostych, niedobranych wyrazach to wszystko, czem nasiąkła w twardej życia wędrówce. Obserwacya nie zapuszcza głęboko wzroku, ani nie odkrywa nowych dziedzin sztuki, ale obraca się swobodnie w sferze swoich znajomych, w której umie czasem szczęśliwie podpatrzyć niejeden rysznamienny i oświetlić go myślą społeczną.

Do najsłabszych należy pierwszy obrazek, niby historyczny, przypominający ową pamiętną chwilę, kiedy cesarz niemiecki Henryk, niezłamany pogromem na Psiem polu, przyjmuje z przepychem walącej się potęgi posłów zagonowego narodu. Odchylającemu wieko swego skarbca miał wówczas rzucić Jan z Góry kosztowny swój pierścień, za co otrzymał podziękowanie w słowach „Hab' Dank." Dziś powiały dziejów wichry na owe dumne postacie antenatów. Potomkowie synów wojewódzkich sprzedają zdradziecko swój naród za brandeburskie talary, a zgarniając je chciwie z kas rządowych, składają jeszcze „Hab' Dank" odwiecznemu wrogowi. Przeciwieństwo sytuacyi, jak widzimy, nie bardzo uderzające. Nadto przedstawiają się czasy dzisiejsze, pomimo brutalności w osnowie, pod względem formy wyidealizowane i wyglądają jak sceny z *Nieboskiej*. Do dawno obalonych przez naukę należy także ów groźny posąg Czarnoboha z rumicznym napisem w języku słowiańskim, który rozczulać może tylko niedojrzałych. Z następnymi obrazkami schodzimy na grunt rzeczywistości. Do istotnych wrażeń autora z pobytu na wybrzeżach Bałtyku, w grodzie liwońskim. Rotman, estończyk, najmita okrętowy w rodzaju Latarnika, ślizgający się na grzbietach topieli morskiej, spoczął po trudach życia w otchłaniach pod całunem fali, zestawiając swoją lekką, zwinną (może trochę za idealną) Anetę na pastwę sybarytów mieszczańskich, którzy rozłajdaczyli to „serce przystani rewelskiej." Atmosfera Bałtyku uchwycona w obrazku szczęśliwie. Widzisz, jak łódka retmana wbiega na szmaragdowe tonie, mieniące się u szczytu białem pian kwieciem, jak biednego Tomę porywają rozhukane bałwany w taniec szatański, czujesz zapach fal, które z najeżonymi grzbietami wyruszają naprzeciw niego do szturmu, jak wyjące stado hyen. Nie tak wyraźnie rysują się w fantazyi kontury miasta portowego, które usiadło na piaskach wybrzeża, opierając się plecami o ścianę skał — a najpobożniej wypadło zdjęcie hulaszczej drużyny kupieckiej, pobrzękującej na platformie szklankami szampana w towarzystwie pięknej Anety.

Zmysłowość nakłada chętnie maskę ideałów, mieniących się jak skóra bazyliszka. Na lep miodowych słów lub omdlewających spojrzeń chwyta się łatwo niewinność, powierzająca swą dziewiczą łupinę wstydu bezbrzeżnym odmętom namiętności. Ale córka dorożkarza, której młodość całym skarbem, a niewinność jedynem bogactwem (niewłaściwie przezwana Helotką), rzuca się tu w ramiona Fikalskiego, chociaż on, spijając słodycze z ust kochanki, cynicznie jej urąga. Ona sama, córka posługaczki, żony furmana, przegląda się w połamanem zwierciadle, choć stroi się na bal do resursy, a poddając się, płonie w rozkoszach „jak wieszczka Pojposu gdy Dejwr celtycki spływał z Walhalli w stronę szumiącej błoni cudzkich wód" (konia z rzędem, kto odczuje to uczone porównanie). Gdzieś wysoko, w iskrzących od światła komnatach na koronkowych nawłoczkach, płowieje purpura zhańbionej dziewczyny... Lecz sny pryskają, jak tęcze ułudy pod zimnym powiewem rzeczywistości... Szare widma troski i następstw zbiegły się i obsiadły ją kołem, straszne wlepiwszy w nią oczy — wypędzona przez matkę na ulicę, rzuca się w otchłanie wezbranej rzeki...

Do tej romantycznej powieści ni przyłatać, ni przyczepić osobę mentora czy moralisty,',„tytana liwońskiej wymowy," przekonywającego swoje audytoryum, że niesłusznie przytaczają przeciwnicy kary cielesnej argument, iż człowiek stworzony jest na obraz i podobieństwo Boga, gdyż właśnie ta część ciała, za którą chwyta się zbita na kwaśne jabłko ofiara, ma najmniej podobieństwa do obrazu Stwórcy.

Charakterystyka filologa, liczącego wiek swój na olimpiady, kroczącego miarowo podług rytmów klasycznych, któremu nawet fałdy na twarzy klasycznie się układają, byłaby trafna, gdyby kontury jej nie przedłużały się czasami do rozmiarów karykatury, zwłaszcza w następującem przeciwstawieniu profesora z jego siostrą dewotką: „Leosia twierdziła, że Mucio jest ostatnim poganinem i więcej wierzy w Jowisza, niż w Pana Boga, a Mucio za to nazywał ją obrzydliwą tarantulą i trzaskał za nią drzwiami. Kiedy Leosia zachorowała, Mucio chodził na palcach, usprawiedliwiając się wszelako, że nie chce przeszkadzać chorobie w jej rozwoju, a gdy Mucio dostał ulania żółci, Leosia całą noc czuwała przy jego łóżku, ażeby zobaczyć, jak djabeł porwie czarną jego duszę" itp. Właściwie nie spleśniały klasyk, ale system szkolny czyha jak Scylla na okręt młodzieży, żeglujący przez morze ośmioklasowe i porywa ofiarę z nieubłaganą logiką starożytnego fatum. Profesor jest tylko wykonawcą tego systemu, gdzie umysł ucznia bywa ciastem, które pedagog wtłacza w foremkę klasyczną i zatrzymuje aż do stężenia.

Skutki tej zasady, opowiadane w nowelce nie dość organicznie wysnuwają się z założenia. Przejmując się nawet intencyą autora, trudno pogodzić nieludzkość profesora, który zwichnął byt niejednej rodziny, z następującą parodyą w rodzaju „Pięknej Heleny." „Oto wybiega z przedsionka Ajaks szalejący, najniebezpieczniejszy zawadyaka, a widząc zachwyt profesorów dla sowiookiej Antygony, poczyna mu urągać: „Pedagogu, jakie ty masz łydki?.. Jak wąskie twe biodra!.. Gdybym cię wprowadził do ginceeum niewiasty połamałyby twe nogi na podpałki!" itp. Takich snów nie miewają klasycy. Obrazek zatytułowany „Ogłoszenie" wygląda, jak gdyby go umyślnie krepą mgły przysłonięto — postacie i zarysy przedmiotów rozpływają się w cieniach ponurej kompozycyi. Zrazu przypatrujemy się grze ludzi podobnej do polowania, gdy dwa psy podchodzą ostrożnie a nieopatrznie naprzeciw lisa, który jednakże w tej samej chwili przemyśliwa nad zmyleniem pogoni — później majaczenia bohatera zacierają do reszty najogólniejsze nawet kontury opowiadania, niepowiązanego żadną nicią przewodnią.

Zimną i zdrętwiałą alegoryą jest „bajka nowoczesna," osnuta na sfabrykowanych motywach podrabiaczów słowiańszczyzny. Występuje tu na scenę, obok dziewicy Marzany, kochanek jej niejaki Trzybek, bożek moru (?). Piekielna ta para dosiada Pogwizda, za nimi kuleje markotny Merot (?) z kosą w ręku... Na takich kruchych fundamentach oparta bajda słowiańska, pozbawiona tła ludowego, pod koniec nawet podana na półmisku biblijnym, miała na celu oddać plastycznie nadzieje i rozczarowania nowoczesne. Jest wogóle rzeczą wcale nie tak łatwą, jak się wydaje, trafić w ton ludowy.

Zbliża się do niego opowiadanie z rodzinnych stron poety „Nad brzegiem Dunajca.“ Dola ludu biednego w Galicyi, gnębionego podatkami, akcyzami, sekwestrami i t. p. szrubami machiny rządowej, zapełniającego niewinnie areszty miejskie i sądowe, albo rzucanego na pastwę rozhukanych żywiołów ognia i wody — cała groza położenia ciemnych mas odbija się w ostatnich nowelkach, jak w czystem zwierciadle wodnem.

Przed oczyma naszemi roztaczają się owe nędzne lepianki Podkarpacia o kominach z chrustu plecionych, zatknięte w ziemię i przykryte strzechą słomianą, które jednym podmuchem wiatru lub pluskiem fali w perzynę obracają rodziny i dobytek chłopski. Z wód podnoszą się mury starego zamczyska spękane, podobne do olbrzymiej trupiej czaszki. Przez oczodoły pustych okien widać moralną i materyalną goliznę hrabiów galicyjskich, którzy z naturalnych opiekunów swej młodszej braci miejskiej przedzierzgnęli się w ekonomicznych obrońców „idei małych miasteczek.“ W szkicu „Pali się“ zarzuca już pożar swój płaszcz płomienisty na całe Śródrzecze, czterdzieści gospodarstw tonie w zgliszczach, a pan hrabia-poseł marzy o szansonistkach teatralnych i (może już z winy autora) nie zdolny jest nawet zdobyć się na mówkę w sejmie o sprawie doraźnej pomocy dla pogorzelców, chociaż na punkcie drobnych miasteczek jest sfiksowany. W ogólności jest satyra na małomieszczańskie stosunki gorzką, ale nie przesadną. Nie podzielamy jednak poglądu autora, jakoby ludziska ci, podobni pod względem kulturalnym do pszczół, których wyuczył dobór naturalny budowania tylko pewnego rodzaju komórek, powinni jak najprędzej wyginąć, gdyż ziemię ich zająć ma rasa żywotniejsza i więcej uzdolniona do boju o swój byt... W tem skazywaniu drobnomieszczaństwa na zagładę posuwa się autor tak daleko, że każe swemu bohaterowi witać klęski, na lud spadające, z radością, a zarazem wyrzucać wszelki altruizm i filantropię za granicę kraju, którego ludność sama sobie radzić nie umie, albowiem „altruizm jednostek kultywuje sobkostwo ogółu...“ Można być przekonanym o niższości a nawet konieczności zaniku pewnej rasy lub grupy społecznej, przekonanie to jednak nie wyklucza współczucia, ani opieki nad ofiarami. Po za tem rozłożył autor grubą warstwę brudu małomieszczańskiego na wszystkie stosunki społeczne i przyrodnicze, a zajrzawszy w głąb serca ludu, wydobył z tej kopalni szczere złoto. Paleta artystyczna młodego poety nie lśni od blasków i kolorów tęczowych. Pędzel jego, rozmiłowany w obrazkach rodzajowych z pokładem społecznym. Jest to istotnie proza *poetyczna*.

H. B.

Antonina Myszyńska. *Marnotrawni*—powieść współczesna. Kraków 1890.

Nie wiem, kogo bardziej podziwiać, czy autorkę, która odważyła się położyć na tej „powieści współczesnej“ swe pełne nazwisko, czy też firmę nakładową Anczyca i Spółki, która zdecydowała się na nakład; jednej i drugiej należy się tytuł marnotrawni. Tamta zmarnowała czas na pisanie powieści, do czego — jak widać — najmniejszego nie miała talentu, ta zaś papier i druk na jej publikowanie. Jest to jedna z najlichszych rzeczy, jakie się w przeciągu ostatniego dziesiątka lat w naszej literaturze pojawiły. W każdej powieści lub noweli, których teraz tak wiele, świeci bodaj jakiś promyczek jaśniejszy, jakieś coś, a tu nic, kompletnie nic. Przepraszam, byłbym szanowną autorkę skrzywdził, jest tu wielka ilość rozdziałów, w tworzeniu których p. Myszyńska dosięgła mistrzowstwa. Cała „powieść“ liczy stronic 203, a w tych 65 rozdziałów.

Treść opowiadania nader prosta. Bohaterem jego jest ks. Witold Symeon, który ma matkę, brata, siostrę, chodził do szkoły w Twardopolu, gdzie znalazł przyjaciela i zakochał się w córce gospodarstwa, u których był „na stancyi,“ a wreszcie umarł.

Język i styl autorki pozostawiają nieskończenie wiele do życzenia.

Z.

M. Kowalczuk. *Architektura w starożytnym Rzymie od najdawniejszych czasów do r. 14 po Chr.* Lwów 1891.

Oddawna dawał się w literaturze naszej odczuwać brak jakiegoś podręcznika, któryby przedstawił w sposób zwięzły a przystępny architekturę starożytnego świata ze stanowiska historyczno-technicznego. Pomagano sobie podręcznikami niemieckimi lub francuskimi. Temu brakowi zaradza właśnie książka p. Michała Kowalczuka.

Autor, wsparty pomocą materyalną przez galicyjski Wydział krajowy, tudzież przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego wyruszył do Włoch, gdzie oddał się z zapałem studyom nad architekturą starożytną i oto mamy rezultat jego pracy. Obejmuje ona trzy okresy, tj. 1) pierwszych królów i początków Rzeczypospolitej, 2) wpływu greckiego na sztukę rzymską od V w. aż do zdobycia Grecyi, 3) od zdobycia Grecyi do Tyberyusza. Pracę poprzedzają ogólne uwagi o rzymianach i Rzymie. Tekst zaopatrzono w 20 drzeworytów i 7 bardzo dobrze autografowanych tablic.

Niewątpliwie książka ta wyprze u nas Badeckera, u którego każdy wyjeżdżający na południe się zaopatrywał, gdyż pisana jasno i przystępnie nadaje się bardzo do pomocy zwłaszcza dla zwiedzających Rzym.

Z.

LITERATURA CZESKA.

Czech Świętopełk. *Wycieczki Pana Brouczka*. Przełożył J. Nitowski. Warszawa 1891 r.

Stosunki społeczno-literackie Czech przechodzą obecnie fazę, która ma w niedalekiej przyszłości wytworzyć pewniejszy i bardziej stały w rozwoju narodowym kierunek. Dla osiągnięcia tego celu potrzeba pewnych starć w samem łonie społeczeństwa. Na mocy prawa ciężkości, idea bardziej żywotna i więcej duchowi czasu odpowiednia stanie się nicią przewodnią, łączącą wszystkich we wspólnych dążeniach politycznych i literackich. Rzecz prosta, że stan obecny, jak wszelkie wrzenie, z którego ma się coś uwarzyć, przedstawia pewne strony ujemne. Potrzeba właśnie Cervantesa, Swifta i Andersena, którzyby, obdarzeni dowcipem, umieli uchwycić te plamy i przelać je na papier z humorem i życiem. Zadania tego podjął się Świętopełk Czech, z którym już czytelnicy *Prawdy* bliższą zawarli znajomość.

Poeta, nie szukając długo, uczynił bohaterem swojej satyry p. Brouczka zwykłego kamienicznika w Pradze. Człowiek to prosty, jak Sancho-Pansa z *Don Kiszota* Cervantesowego. Lubi on przedewszystkiem wygodę, kufelek piwa i kiełbaski gorące. Ulubioną jego knajpką jest gospoda na Hradczanach, zwana „wikarką.“ Tam zwykł uczęszczać i prowadzić ożywione rozmowy z p. Wurflem właścicielem zakładu. Pewnego razu atoli przybył w kwaśniejszym niż zwykle humorze. Czytał jakąś książkę popularną o księżycu i każdy rozdział świeżym czcił kufelkiem. Pod wpływem tej lektury, tudzież szumiącego piwka, dowodzić zaczął Würflowi, że na księżycu, wbrew domysłom uczonych, znajdują się żywe istoty. Rozstawszy się z gospodarzem, wracał chwiejnym krokiem do domu. Gdy przechodził koło kościoła ś. Wita, zdawało mu się, że wszystkie części budowli grożą upadkiem, co przypisywał trzęsieniu ziemi. Widok pełni księżycowej wzbudzi w nim uwagi pesymistyczne. Idąc tak, dostał się na dach jakiegoś domku ogrodowego, gdzie chwyciwszy oburącz chorągiewkę szczytową, przechylił się głową na dół, a nogami do góry. W tej postawie zdawało mu się, iż z przed oczu jego znikają domy Pragi. Szybkim prądem powietrza unosił się w przestrzenie. Pociemniało mu w oczach, omdlał i ocknął się na... księżycu.

Tutaj leżąc w rozpadlinie skał, ujrzał niebo zasiane gwiazdami i sierp błyszczący. Była to ziemia z ukochaną Pragą i knajpką Würfla na Wikarce, którą opuścił. Rozpacz go ogarnęła i niebawem głód mu zaczął dokuczać. Pomacawszy się po kieszeniach, znalazł cztery pary kiełbasek. Rychło pochłonął trzy, zostawiając sobie resztę na później. Po nad głową swoją ujrzał on człowieka na rumaku z białemi skrzydłami. Był to mieszkaniec księżycowy czyli tak zwany selenita. Postać jego wiotka, powietrzna, prawie bezcielista. Ten dostrzegłszy Brouczka na dnie krateru wulkanowego, zsiadł z konia i rozpoczął rozmowę po czesku. Był on poetą, czego dowodem wieniec warzynowy i lutnia w dłoni. Otóż księżyc, na którym bogata wielce wegetacya roślinna rozpostarła swoje skarby, zamieszkany był przez poetów i artystów czeskich. Jedynym ich pokarmem woń kwiatów, a napojem rosa poranna. Jowialnemu Brouczkowi obrzydło wkrótce takie życie. Dosiadłszy rumaka, powraca na ziemię i budzi się na swojem łóżku. Oto zakończenie części pierwszej.

Autor jednak, naśladując Andersena, każe Brouczkowi po raz wtóry upijać się u Wurfla. Tym razem gawędził z gospodarzem o starych wieżach zamkowych i strasznych więzieniach. W chwili, gdy Brouczek wychodził z knajpy, wieczór był ciemny i dżdżysty. Rozgrzany piwem kamienicznik, zamiast na ulicę, dostał się na podwórko, gdzie jak Dyogenes znalazł schronienie w beczce. Tutaj wyobraźnia jego zaczęła pracować. Ciemność pokrywała niezmierzone labirynty, które w wyobraźni kamienicznika zapełniały się rozbitemi trumnami i cuchnącymi trupami. Miały to być katakumby pod kościołem św. Wita. Po długiem kołowaniu ujrzał on drzwi w ścianie, wiodły one do skarbca króla Wacława. Stamtąd dostał się na ulicę. Dziwny wszakże przedstawił mu się widok. Domy wysokie, obciążone dziwaczną architekturą. Na środku nader wązkiej ulicy pełno błota i śmieci. Jakiś człowiek w kapturze i pstrych pantalonach przesunął się z latarką w ręku. Od niego dowiedział się ze zdziwieniem, że jest w Pradze w r. 1420! Było to jeszcze przed zwycięztwem Żyżki nad wojskami cesarza Zygmunta na górze Witkowej. Człowiek, którego spotkał, mając go z początku za szpiega, później za waryata, znikł w jakiejś kamienicy. Błąkając się po starej Pradze, zaczepiony został przez mieszczanina Jana Domszyka. Wnet po długiem badaniu bohater nasz doznał gościnnego przyjęcia u starego czecha, husyty. Niebawem Brouczek wyrusza uzbrojony z gospodarzem. Podczas boju kładzie się na ziemi i udaje nieżywego. Znaleziony przez Wacława Kosandę, kapłana taboryckiego i Chwała Rzepickiego z Machowic, przechodzi do obozu taborytów, którzy nie odprawiali mszy w ornatach, nie czcili świętych i nie uznawali obrzędów tradycyjnych, jak inni husyci, zwani kielichowymi, kalikstynami albo utrakwistami, tj. przyjmującymi komunię pod postacią chleba i wina. W chwili gdy zawrzał bój z wojskami Zygmuntowemi na górze Witkowej, Brouczek, tchórzem podszyty, umknął z tylnych szeregów i szczęśliwie przybył do Pragi. Tu poznany i zatrzymany został aż do powrotu Żyżki, który go w beczce smolnej spalić kazał. Ocknąwszy się nasz bohater, znalazł się w beczce, ale od piwa, do której się schronił, wracając od Würfla.

Na tem koniec tej Odysei. Autor umieścił poetów na księżycu, gdzie język czeski, niczem nieskrępowany, swobodnie panuje. Niezadowolony teraźniejszością, wprowadza nas w czasy husyckie, lecz i tam mordy i barbarzyństwa, fanatyzm religijny, tudzież brak istotnej kultury narodowej, nie mogą zaspokoić czecha z XIX w. Mimo zdrowego humoru, soli atyckiej, z każdej kartki tej książki wieje pesymizm. Styl prosty i jędrny, nader poprawnie przyswojony językowi naszemu przez tłomacza, który dał się już poznać wieloma pracami na polu slawistyki.

Uznając swobodę poetycką, nie chcemy autorowi czynić zarzutów co do jego erudycyi archeologiczno-historycznej. Niech jednak wybaczy, jeżeli ośmielamy się wytknąć parę zbyt rażących błędów. Otóż skarby króla Wacława nie ukrywały się we wskazanej przez autora miejscowości. Wiadomo każdemu, kto choć powierzchownie zna dzieje czeskie, iż skarby te przechowywano w Nowym Dworze pod Kunraticami (Wenzelstein). Kolumna maryańska nie wznosiła się jeszcze na rynku staromiejskim w r. 1420. Pomnik ten postawiony dopiero przez Ferdynanda III na pamiątkę pokoju westfalskiego (1648 r.). Kościół ś. Ducha oddany był niemcom, husytom po bitwie na Witkowej górze itp.

Małe te jednak usterki nie ujmują wartości utworu, który bądź co bądź wdzięczną literatury czeskiej stanowić będzie ozdobę. Talent Świętopełka Czecha wyćwiczony na wzorach satyryków klasycznych, muza jego, mimo lekkich dzwoneczków przyszytych do kołpaczka na jej główce, we łzach kąpie jasne na pozór oczęta.

Justyn Feliks Gajsler.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z POZNAŃSKIEGO.

21 marca.

Nowe rządy — fiasko translokacyi nauczycieli — wybory parlamentu, memoryał komisyi kolonizacyjnej — wydział prowincyonalny. — Towarzystwo gospodarcze.

Ileż to nowych wiadomości od czasu, kiedy raz ostatni do *Prawdy* pisałem, i to wiadomości pierwszorzędnej wagi! Naczelne miejsce w ich szeregu zajmuje bezsprzecznie telegram, który doniósł: minister oświecenia dr. Gossler przeszedł w stan spoczynku, cesarz zamianował naczelnego prezesa prowincyi poznańskiej, rzeczywistego tajnego radcę hr. Zedlitza-Trützschlera ministrem stanu i ministrem oświecenia, stanowisko zaś dotychczas przez tegoż zajmowane oddał w ręce bar. Wilamowitza-Möllendorfa.

Za jednym zamachem zaszły trzy doniosłe fakty dla dzielnicy poznańskiej. Dziesięcioletnia działalność ministra Gosslera zbyt żywo utkwiła w pamięci ludności słowiańskiej, pozostającej pod panowaniem niemieckiem, aby ta z upadku jego jawnie się nie radowała. Był on ślepem narzędziem w ręku Bismarka i oddał mu się bezwarunkowo na usługi, ile razy tylko chodziło o wyrządzenie jakiejś ciężkiej krzywdy dla nie-niemców. Nie kto inny, jeno on zniósł naukę języka polskiego w szkołach tutejszych, on w ministerstwie z namiętną, jawną stronniczością dążył na polu oświaty i religii do zgermanizowania mas, które z językiem niemieckim nic chciały mieć nic do czynienia. Zgubiły go w opinii cesarza: projekt szkolny, który nawet podwładni mu urzędnicy skrytykowali, projekt dotyczący funduszów obrocznych, skompromitowała go zaś sprawa wynalazku Kocha, którą wprowadził w błąd opinię publiczną. Upadek jego był o tyle niespodziany, o ile on sam jeszcze w sejmie bieżącym na ataki opozycyi odpowiedział, że systemu swego zmieniać nie myśli i owszem w ministerstwie przez długie jeszcze lata pozostanie i tam z całą siłą przeprowadzać go będzie. Atoli *„fortuna variabilis, Deus mirabilis.“*

Jakim będzie jego następca?

Prasa tutejsza jednogłośnie się zgadza, że gorszym od Gosslera nikt być nie może. Zupełnie z zapatrywaniami temi się nie godzę. Ani zamianowanie Zedlitza-Trützschlera ministrem oświaty, ani zrobienie Wilamowitza-Möllendorffa naczelnym prezesem W. Księstwa Poznańskiego zupełnie nie zmieni systemu dotychczasowego co do polityki antisłowiańskiej na lepsze. I owszem, walka, którą niemcy dotychczas prowadzili w Poznańskiem na oślep, teraz dopiero będzie prowadzona drogą, która umożliwi osiągnięcie celu, jeżeli Poznańskie nie zmieni systemu obrony. Tak nowy minister oświecenia, jak i nowy namiestnik nienawidzą polaków i tem skuteczniej mogą ich wynaradawiać od Gosslera, że znakomicie są obznajmieni ze stosunkami miejscowymi. Wszelkie, przez prasę polską w nich pokładane nadzieje są i będą ułudą, która może być bardzo nawet bolesną. To też przymilanie się takie, jak obecne, i wszelkie pochwały oddawane już z góry nowym nominatom przez prasę polską są zupełnie nie na miejscu, a co smutniejsza — szkodliwe.

Nadzwyczajnie ciekawy przybrała koniec translokacya nauczycieli urodzonych w Poznańskiem i na Szląsku w okolice czysto niemieckie i na odwrót. Byłto również pomysł Gosslera-Bismarcka. Sądzono, iż nauczyciel-niemiec, przybywszy w okolice słowiańskie, nie umiejąc ani słówka po polsku, zmusi dzieci do nauczenia się mowy niemieckiej — z drugiej zaś strony nauczyciel-słowianin, dostawszy się w okolicę czysto niemiecką, będzie musiał się wynarodowić. Projekt ten, jak dziś już sam rząd przyznaje, zawiódł zupełnie. Dzieci polskie nie tylko, jak statystyczne dane okazały, nie nauczyły się mówić po niemiecku, ale nawet czytać i pisać dziś nie umieją po polsku, a liczba analfabetów zamiast się zmniejszyć i zniknąć, urosła. Trzeba się tedy było z systemu tego nauczania wycofać, ale wycofać honorowo. W prywatnych pogadankach dały władze naczelne nauczycielom do zrozumienia, że prośbę ich o cofnięcie translokacyi z własnej dobrej chęci poprą w Berlinie. Oczywiście ci z informacyi skorzystali i dzięki niby owemu poparciu mają powrócić do rodzinnych stron, chodzi jeno o to, czy na koszt własny, czy też rządu. Wrócili już nauczyciel Weber do Szlachty, Jan Buchholz dawniej nauczyciel w Przodkowie i August Jankowski dawniej w Mlewie. Znajduje się jeszcze w prowincyi nadreńskiej nauczycieli szkół elementarnych narodowości polskiej około 50, w Westfalii 3, w Hesyi i Nasau 7; nauczycieli gimnazyalnych w prowincyach zachodnich przebywa jeszcze 40—50. Zmianę frontu w tej sprawie ze strony rządu wykrył pierwszy berliński *Borsen Courier*, który zapowiada obecnie powrót do stosunków normalnych. Dzienniki poznańskie widzą w tym kroku rządu niemieckiego zmianę systemu germanizacyi i myśl zaniechania jej. Jest to, co najmniej, naiwnością. Rząd pragnie tylko pozbyć się analfabetów z armii, nic innego.

Będziemy tu mieli aż dwa nowe wybory do parlamentu: z okręgu sztumsko-kwidzyńskiego, gdzie kandydatem polskim jest p. Feliks Ossowski z Najmowa (powiat brodnicki) i z okręgu wyrzysko-szubińskiego. Ten ostatni reprezentuje jeszcze poseł p. Poll — mówimy reprezentuje jeszcze, gdyż wybór jego w krótkim czasie zostanie w parlamencie unieważniony. Walka między Pollem a kandydatem polskim była bardzo zawzięta. Ostatecznie wyszedł z urny wyborczej niemiec, otrzymawszy 9,703 głosów, tj. 167 więcej od swego przeciwnika. Wyborcy, którzy pozostali w mniejszości, nie dali jeszcze za wygranę, lecz wnieśli protest, po zbadaniu którego komisya parlamentarna wszystkimi głosami przeciw jednemu postanowiła zaproponować parlamentowi zakwestyonowanie wyboru Polla i zarządzenie ścisłego śledztwa co do nadużyć. Niemcy bowiem urządzili się w ten sposób, że nazwisko Polla wydrukowali na kartkach tak, iż na zewnątrz było widocznem, komu wyborca swój głos oddaje; głosowanie tedy, które miało być tajne, stało się zupełnie jawnem. Nadto kierujący wyborami unieważnił 50 kartek oddanych na kontrkandydata dlatego, że były drukowane po polsku! Oczywiście że w takich warunkach Poll musiał zwyciężyć. Gdyby ks. Bismark i stronnictwo kartelowe panowali jeszcze w parlamencie, sprawdzenie takich wyborów wypadłoby niewątpliwie dopiero po upływie sześciolecia parlamentarnego, a poseł sprawowałby swój urząd do ostatka.

Do pruskiej Izby deputowanych nadesłany został obszerny memoryał w sprawie „wykonywania ustawy z d. 26 kwietnia 1886 r.,“ dotyczącej „popierania“ niemieckiej kolonizacyi w W. Ks. Poznańskiem i Prusach zachodnich. Niewesoły to dla poznańczyków rezultat! Komisya w ubiegłym roku nabyła 12 dóbr większych i 2 grunta włościańskie i umieściła na 186 parcelach 175 kolonistów. Do końca roku wystawiła na sprzedaż 964 parcel, mających ogółem obszaru 17,795 hekt. wartości 11,206,039·71 mr. W latach 1887, 1888 i 1889 sprzedała 526 parcel obszaru 9,965 hektarów, wartości 6,277,843·62 mr., a w r. 1890, jak wyżej wzmiankowałem, 186 parcel, obszaru 2,960 hekt., wartości 1,918,658·44 mr. Dotychczas pochłonął stumilionowy Moloch 82 dóbr, mających obszaru 48,665·33 hekt., wartości 29,376,916 20 mr. i 32 gospodarstw chłopskich, obszaru 1,334 hekt., wartości 904,294·80 mr. W memoryale żali się komisya bardzo na nieurodzaj w dwu latach ostatnich, przez co kolonizacya nader stała się utrudnioną i ryzykowną.

Z początkiem marca odbyło się posiedzenie wydziału prowincyonalnego; obradowano na niem przeważnie nad sprawami osobistemi, etatu i rachunkowości. Zatwierdzono szereg podań o udzielenie zapomóg prowincyonalnych dla dróg i obiecano udzielenie zasiłku dla budowy mostu na Warcie pod Sierakowem. W kilka dni później, tj. 9 marca, odbył się sejm prowincyonalny W. Ks. Poznańskiego. Marszałek utworzył cztery wydziały dla narad przedwstępnych nad projektami, przedstawionymi sejmowi do uchwalenia i na tem sejm chwilowo się odroczył. Posiedzenia następne nic przyniosły nic interesującego.

Dnia 12 marca rozpoczęły się obrady walnego zebrania centralnego Towarzystwa gospodarczego, w którem wzięło udział około 150 uczestników. Załatwiono na niem szereg referatów fachowych i wybrano nowy zarząd.

Ł. z.

LIBERUM VETO.

(Duch Talleyrandz).

Dzięki księciu Broglie zmartwychwstał i zajmuje nas obecnie człowiek, którego współcześni i potomni nazywali: katem Europy, biskupem od śmiechu, nieprawym synem Voltaire'a, Ezopem dworskim, parasolem Ludwika Filipa itd., a który nazywał się Talleyrandem. Świeżo wydane jego *Pamiętniki*, w których stary lis, oszukujący za życia wszystkich, chciał po śmierci okpić historyę, nie zwróciłyby na niego zbyt wielkiej uwagi, ale wykradziono mu

i ogłoszono „Brewiarzyk," w którym zawarł dogmaty swego życia, a nadto *Figaro* z pism, czynów i wyrzeczeń jego ułożył „Spowiedź przed dyabłem," malującą grzesznika w pełnem świetle. Talleyrand powiada w niej:

„Należy się strzedz pierwszych wzruszeń, gdyż zwykle są one najszlachetniejsze.

Trzeba ludzi tak prowadzić, ażeby nie dostrzegli swego jarzma, i tak opanować ich wolę, ażeby nie czuli gwałtu.

Nie mów nigdy nic złego o sobie; wyręczą cię w tem twoi przyjaciele.

Moralność jest oszukiwaniem serca przez umysł.

Bardziej się obawiam gromady stu owiec pod przewodnictwem lwa, niż gromady stu lwów pod przewodnictwem owcy.

Kochając siebie, nie potrzebuję żadnej innej miłości.

Są błędy, które usprawiedliwiam i namiętności, które przebaczam, mianowicie— moje."

I tak dalej.

Są to niewątpliwie „złote ziarnka," z których składa się skarb mądrości ludzi roztropnych. Ani wszakże wydawcy *Pamiętników* słynnego dyplomaty, ani ci, którzy odtworzyli jego „Brewiarzyk" i „Spowiedź," nie wiedzą, że otrzymał on w spuściźnie po przodkach i nieco uzupełniony przekazał potomkom podręcznik *Filozofii praktycznej*. Podręcznik ten, niespisany i niewydrukowany dotąd, jak pieśni Homerowe, jak legendy i bajki, jak reguły moralne, przechowuje się w tradycyi ustnej, w pamięci ludzi zwycięzkich w walce o byt, pomnażany i rozszerzany przez geniusz nowych pokoleń. Nie udało mi się u nikogo spotkać go w całości, lecz w okruchach, często tylko w pojedynczych zdaniach. Spisując wszakże i zestawiając te ułamki przez lat wiele, złożyłem dość szczegółowy zarys, który godzien jest poznania jako drogocenna pamiątka po przeszłości i jako system sprężyn moralnych teraźniejszości. Oto ważniejsze jego zasady, które na użytek bliźnich oddaję:

— Mędrzec nie bada natury, ale ją poprawia; to też powinien upewniać ludzi, że stworzyłby im świat lepszy.

Prawda jest śpiącą królewną, której strzeże smok, pożerający tych, co się do niej zbliżają.

Kto chce zapuścić się w głębię przyrody, musi siąść w windę wiary i zatrzymać się tam, dokąd sięgną jej sznury.

Wiedzę, jeśli ma być pożywna, trzeba tak jeść, jak cebulę, obraną tylko z zewnętrznej powłoki; ciekawi, którzy zdejmą z niej wszystkie opony, nie znajdą w środku nic.

Idącemu prędzej od ciebie w poznaniu, rzuć pod nogi kij, wykop mu na drodze rów, zagrodź płot, a jeśli nie stanie, upadnij przed nim, albo uczep się jego poły, ażebyś miał prawo go oskarżyć, że cię podeptał lub ciągnąc leżącego, poranił i zbrudził.

Wypuszczaj myśl swoją z głowy, jak ptaka z klatki — na nitce, za którą możesz go ściągnąć.

Jeżeli w badaniu odkryłeś nieznaną prawdę, zapytaj naprzód tych, którzy jej nie szukali, czy już ją mają lub czy ci ją mieć pozwolą.

Jeżeli urodziłeś nowy pomysł, zaproś na jego chrzestnych rodziców ludzi bezpłodnych, którzy mogliby się nim cieszyć jako swojem dzieckiem.

Nie chciej mieć więcej praw od słońca, przed którem ludzie zasłaniają sobie okna roletami, i nie żądaj, ażeby ciemne głowy odsłaniały się dla wpuszczenia promieni twej wiedzy.

Kto rzuca światło nauki na głupich, podobny jest do łobuza, który lusterkiem ciska blask w chore oczy spokojnym obywatelom.

Mając wzrok krótki, otocz swój mały widnokrąg wysokim murem, któryby stojącym obok ciebie nie pozwalał spoglądać dalej.

Odstąp swoje łóżko gościowi, ale pod warunkiem, że gdy będzie dla niego za krótkie, obetniesz mu nogi.

Sprzęgaj ludzi, jak konie odmiennej rączości, i tego, który się naprzód wyrywa, ściągaj kiełznem.

Głoś nierówność w tem, czego masz od innych więcej, a równość w tem, czego posiadasz mniej: więc jeżeli jesteś głupi, wymagaj, ażeby mądrzy zrzekli się swego rozumu, o ile on narusza harmonię powszechną.

Literatura nie powinna być ani akademią, ani świątynią sztuki, lecz miejscem rozrywki, gdzie każdy może dostać tego, co lubi.

Nauka wtedy jest pożyteczna, kiedy dostarcza na targ artykułów żywności.

Nie gardź ludźmi dopóty, dopóki ci nie zapłacą za twoje pochlebstwo.

Nie odmawiaj im nigdy sprzedania rzeczy, którą się brzydzisz.

Nie spieraj się z nimi o to, że kupując od ciebie świder, nazywają go fijołkiem, lecz zachwalaj jego przyjemny zapach.

Nauczaj, że kąt prosty jest większy od rozwartego, skoro w pierwszym tkwi twoja, a w drugim cudza korzyść.

Noś moralność jak futro — włosem samolubstwa na wewnątrz, a skórą miłości bliźniego na wierzch.

Kulę ziemską uważaj za olbrzymią brzoskwinię, której słodki sok chętnie sam byś wyssał i żałuj tylko, że nie masz dość wielkich rąk, ażeby ją ująć, i dość wielkich ust, ażeby ją w nie włożyć—po zgarnięciu mrówek, któremi są inni ludzie.

Zanim cokolwiek zrobisz, poradź się swego najlepszego przyjaciela — egoizmu.

Nie naśladuj złodzieja w czynach, ale w metodzie: gdy inni się modlą, gromadzą na uroczystościach i procesyach, korzystaj z ich nieuwagi i wyciągaj im z kieszeni swój interes.

Wyzysk poczytuj za swój prawny dochód, a jałmużnę za konieczny od niego podatek.

Noś samolubstwo w piersi jak serce, które jest niewidzialne, a jednak ciągle bije i cały organizm odżywia.

Miłość własna powinna być najwstydliwszym organem twej duszy, ale i najważniejszym.

Idąc przez życie, nie patrz na dół, gdzie rosną zioła i pełzają robaki, które możesz rozgniatać, ale w górę, gdzie wiszą gałęzie wysokich drzew, które mogą ci wykłuć oczy.

Wrzucaj ciągle w piece dobra powszechnego zapaloną słomę, a gdy się dostatecznie rozgrzeje, wsuń w nie kryjomo swoje bochenki chleba.

Oberznij niepostrzeżenie plombę z towaru współzawodnika, a potem go oskarż, że handluje kontrabandą.

Nie rozdawaj uczuć z serca, jak oleju z lampy, bo zgaśnie ten płomień, który cię ogrzewa i oświeca.

Nie kochaj kobiety inaczej, niż źródło przyjemności; roztop ją w sobie, jak cukier w ślinie.

Przebacz dzieciom, że się urodziły, w imię tego, że powstały z twojej rozkoszy.

Poświęcaj swoje środki, jak rolnik poświęca swoje ziarna, które w dobrze uprawną ziemię wrzuca i z jednego dziesięć zbiera.

Każdego spotkanego człowieka otwórz, jak stary znaleziony pugilares: wyjąwszy zawartość, ciśnij go, ażebyś cię potem nie zdradził, żeś sobie cudze pieniądze przywłaszczył.

Gań w ludziach otwartość, ażeby im nie przyszła chęć zajrzenia w ciebie.

Spełniaj wszystkie cnoty, jeżeli one cię taniej kosztować będą, niż występki.

Uczciwość rozpinaj nad sobą jak parasol, ażeby na ciebie zarzuty nie padały.

Bądź zuchwałym wobec tchórzów, dumnym wobec pokornych, ale nawet w skromności mianując się drobiazgiem, zaznaczaj, że jesteś małą szrubką, bez której wielka maszyna społeczna działać by nie mogła.

Złam wszelkie śluby, z wyjątkiem tego, który zaprzysiągłeś sobie.

Nie mów nigdy, że to, do czego dążysz, jest twoim celem, to, czego pragniesz — twojem dobrem, lecz celem i dobrem ogółu. Wtedy wszyscy ci pomagać będą, a ty, osiągniesz przy ich współudziale korzyść własną, jak gracz, zgarniający ze stołu cudze stawki.

Z całego słownika mowy ludzie najlepiej rozumieją jeden wyraz — interes; rozpal tym wyrazem ognisko, a kłaść się w nie będą jak kłody i pozwolą ci w swoim żarze, który ich zniszczy, upiec kartofle, które ciebie nakarmią.

Powyższe wypisy nie zawierają jeszcze całego katechizmu filozofii praktycznej, na który złożyły się wieki, który zawdzięcza swe perły takim geniuszom, jak Macchiavelli, Kulawy dyabeł Lesage'a, Mefistofeles, Talleyrand i inni. Czy on rzeczywiście istnieje? — zapytacie z niedowierzaniem. A czy istnieje sól w morzu? Możemy zanurzyć się na dno jego głębi i nie znajdziemy bryły, nawet gruzełki. Mimo to jeżeli nalejemy wody morskiej w basen i pozwolimy jej wyparować, w osadzie pozostaną kryształki soli. To znaczy, że filozofia Talleyranda, którą on strącił z życia i skrycie zadawalał nią swoje potrzeby, przechowuje się roztopiona w morzu dusz ludzkich. Nie ma jej tylko w charakterach krynicznych, ale jest w oceanie istot samolubnych, obłudnych i nienasyconych, które świat wypełniają. Daremnie więc ów ocean burzy się gniewnie i pieni wzgardą na starego cynika, spoglądając w pozostałe po nim zwierciadło. Gdyby ta małpa moralna nie była podobna do ludzi, nie wydałaby się im tak wstrętną. Przebaczyliby mu bezwstyd, ale nie mogą mu przebaczyć gadatliwości i zdrady. Zamiast — jak sam zalecał — milczeć, wygadał się ze wszystkiem, co wiedział złego o naturze człowieczej. Jest to Zola etyki praktycznej, naturalista malujący nagość. Przeczytajcie dzieła Lombrosa lub sprawozdania naczelnika policyi francuskiej o badanych przez niego złoczyńcach — znajdziecie tam w wynurzeniach zbrodniarzów niejedną maksymę Talleyranda. Czemuż pomimo to nie zaliczono go do nich; czemuż jego „Brewiarzyka" nie włączono do literatury więziennej? Bo zgorszeni sędziowie dostrzegli w jego cynizmie pewne rysy, które im przypomniały naturę własną. Z szatańskim uśmiechem powiada on: „Istnieje straszniejsza broń od potwarzy — prawda." Jeżeli przeto nie napisał prawdy o innych, tylko o sobie, po co zgroza? Wszakże rzec można, iż urodził się wyjątkowy potwór, niepozostający z cnotliwemi dziećmi Europy w żadnem pokrewieństwie — i oddać jego dokumenty psychopatom. Boleć powinna tylko rodzina. Tymczasem ta rodzina rozszerzyła się do milionów. Wszystkie pisma peryodyczne cywilizowanego świata przedrukowały „Brewiarzyk" Talleyranda, a ich czytelnicy wydali okrzyk zgrozy za „zniewagę godności ludzkiej." Bądźcie ostrożniejsi przedstawiciele i obrońcy jej majestatu! Udajcie, że ten stary szyderca kłamał, popisywał się zepsuciem, które nawet w nim nie zapuściło głębokich korzeni.

Tak, on kłamał — prawda? Po ziemi uwijają się szatany, ale rzadko, głównie zaś obsiadły ją anioły z odłamanemi skrzydłami, które odbywają swą pielgrzymkę doczesną smutne, z wzrokiem w niebo utkwionym. „Cnota bywa niekiedy nagradzana, a występek karany — mówi Talleyrand. Są to wszakże wyjątki, stwierdzające regułę." Ależ to oszustwo! Cnota bywa zawsze, a co najmniej często nagradzana, a występek karany. Bo jeżeli nawet sprawiedliwość nie dosięgnie winowajcy swym

mieczem, to ludzie uścielą mu Madejowe łoże. Czy nie spotykaliście takich pokutników? Czy zdarzyło wam się kiedykolwiek widzieć, ażeby bogatemu złodziejowi nizko się kłaniano, ażeby oszusta mianowano kontrolerem rzetelności, ażeby krzywdziciela sierot nazywano ich dobrodziejem, ażeby wyzyskiwacza cudzej pracy czczono jako filantropa? No przypuśćmy wreszcie, że to się kiedykolwiek zdarzyło, ale i wtedy nawet ludzie mieli dla nieuczciwca odrazę, tylko głęboko schowaną. Wejdźcie do sali biesiadnej lichwiarza, łupieżcy, oszusta, przestępcy uwolnionego od kary dla braku dowodów, cóż zobaczycie? Goście śmieją się, ale dla zagłuszenia smutku, jedzą wyśmienite potrawy i piją kosztowne wina, ale dla uśmierzenia wewnętrznego bólu, dla uspokojenia tajemnej odrazy. Gdyby na tej uczcie ukazał się duch Talleyranda, nie miałby ani racyi, ani powodu do szyderczego śmiechu, powinienby raczej powiedzieć obecnym:

— Wiem, że ten kawior, ten majonez, te kuropatwy nie smakują wam i wolelibyście jeść barszcz zwyczajny na stole uczciwego kmiotka. Lecz wy poświęcacie się dlatego, ażeby gospodarz widział wyglądający ku niemu z waszych oczu gorzki wyrzut. Rozumiem, wy go karzecie...

Tak jest. Pytałem raz kogoś, czemu bywa u jednego ze swych znajomych, którego uważa za nicponia.

— Czemu? — odrzekł bez zakłopotania. Ażeby popatrzeć w jego oczy i ażeby on z moich wyczytał, jak nim gardzę.

Dodać trzeba, że wzgardzony dawał sute kolacye, a gardzący miał dobry apetyt; ostatni więc mścił się na pierwszym często i nielitościwie.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Powódź wiosenna. — Niemoc dzisiejszej kultury. — Giełda pracy najemników wiejskich.

„Królowa rzek naszych,“ zrzuciwszy z siebie lodowy płaszcz zimy, według zwyczaju, spłukała już swoje wybrzeża i ściągnęła daninę z ludności w mieniu, zdrowiu i życiu. Oto chór głosów, obwieszczających klęskę powodzi w różnych okolicach kraju: „Lody z niziny Stopnickiej i Tursko-Osieckiej utworzyły zator pod wsiami Ostrołęka i Koćmieszów aż do samego Sandomierza. Nizina Skotnicka zalana. Szkody w polach i budynkach zalanych dużo.“ Lody na Pilicy prysły. „Ratunku żadnego. Kilkudziesięciu ludzi stojących, dwa bosaki na tyczkach jakby dla zabawki dzieci — oto cały ratunek.“ Przypływ Pilicy spory. Woda z koryta rzeki wylewa z szumem i bystro na pola. Mieszkańcy z nad Kamiennej opuszczają siedziby i przenoszą dobytek na wzgórza.“ „Znaczny zator pod wsią Kamieniec (na Wiśle) spowodował zalew wsi: Błonie, Chrzcin, Kamieniec (woda sięgała okien), Speranda, Radowąż i inne.“ Ten sam los spotkał wsie: Skotniki, Bogoryę, Zajesione i Ostrołękę (w dolinie Skotnickiej powiśla). Nie lepiej pod Włocławkiem. Przybór fal Wisły, zwiększony napływom wód z Bugu i Narwi, zalał z lewej strony w gminie Dobiegniewie (naprzeciw Dobrzynia) pola i łąki na szerokość wiorsty, topiąc w sobie: Wjoskę-Szlachecką i Wioskę - Królewską“ z Dobiegniewem. W gminie Łęg wieś Korabniki została zupełnie zalana; mieszkańcy z całym dobytkiem wynieśli się na wyżyny wsi sąsiednich. Pod Ciechocinkiem woda przy 16-tu stopach przyboru zanurzyła w sobie wioski: Słońsk, Starzewo, Olszewo i mieszkańców wypchnęła na dachy i strychy.

Nigdy bezsilność chłopa nie występuje tak wyraźnie, jak wobec żywiołowej, nieujarzmionej potęgi naszych rzek nieuregulowanych. Ktoś by może pocieszył się myślą, że od klęski powodzi nie są wolne nawet kraje dalej od naszego posunięte w kulturze. Dla nas jednak ta okoliczność przysparza nowego dowodu całej niemocy dzisiejszej gospodarki społecznej. Jest ona i niedołężna i bezładna, skoro może wysilać się na koleje podmorskie, świdrować w twardej opoce gór tunele kilkomilowe i równocześnie odłogiem zostawia rozległe dziedziny potrzeb społecznych. O marnotrawstwie sił ludzkich, właściwem okresowi panowania guldenów i marek, powiedzieć by mogły rzetelne obliczenia strat, które ponoszą społeczeństwa dzisiejsze skutkiem złego ujarzmienia dzikich żywiołów przyrody.

Pan Glogier z Tykocińskiego utyskuje na nieład, panujący na rynku pracy lub wsi. Za dowód przytacza fakt, że gdy w powiecie węgrowskim jest nadmiar siły roboczej, to około Wysokiego-Mazowieckiego, do dóbr M. o 100 mil sprowadzać muszą chłopów góralskich do brony i grabi, co dla braku miejscowego najemnika (wyrostków) zmusza dwór drożej płacić za pracę małoletnich. „To też zdarza się — powiada p. G. — że gdy w jednej wiosce ludzie dla braku roboty próżnują, w folwarkach o mil kilka położonych rolnicy ponoszą znaczne straty z powodu niedostatku rąk roboczych... Dobrze zorganizowane pośrednictwo na prowincyi w sręczeniu pracy mogłoby oddać rolnictwu przysługę.“ Jakkolwiek w tem żądaniu na pierwszy plan wysunięty jest folwark z dziedzicem, ale istotnie pewnego rodzaju „giełda pracy“ szczególnie w interesie najemnictwa wiejskiego byłaby bardzo pożądana, jako dobry środek, regulujący rozmieszczenie sił roboczych.

Z. Atanazy.

PRASA RUSKA.

Warsz. Dniewnik otrzymał z Nieszawy następującą korespondencyę:

„Dnia 4 marca na komorze w Aleksandrowie przytrzymana została i odesłana do urzędu powiatowego w Nieszawie mieszkanka Łodzi, Walerya Matuszewska, która powróciła z Brazylii, dokąd wywędrowała potajemnie przed pięciu miesiącami wraz z mężem i trojgiem dzieci. Przy badaniu w biurze powiatowem Matuszewska zeznała: Wyprzedawszy za bezcen cały swój dobytek, z mężem i dziećmi udali się do Kalisza, a stamtąd potajemnie wyszli za granicę, następnie pieszo dostali się do miasta pruskiego Ostrowia, skąd własnym kosztem pojechali do Bremy, a z Bremy przewieziono ich bezpłatnie na okręcie do Rio Janeiro. Z Rio Janeiro wysłano ich wraz z innymi emigrantami do prowincyi Santa-Catharina, gdzie według zapewnień agentów emigracyi, otrzymać mieli grunta. Gdy się przekonali, że warunki, na jakich dają tam ziemię, są bardzo uciążliwe, że jednocześnie panuje wielka śmiertelność wśród dzieci skutkiem żółtej febry i innych chorób, Matuszewscy po długich i daremnych poszukiwaniach jakiegokolwiek schronienia i środków do życia, postanowili powrócić do kraju. Kiedy przybyli z powrotem do Rio Janeiro, z wziętych pieniędzy rs. 400 pozostało im już tylko rs. 57. Ponieważ pieniędzy tych nie starczyło na opłacenie przejazdu okrętem do Hamburga, musieli chodzić po prośbie do zamieszkałych w Rio Janeiro polaków, ale z datków tych uzbierali tylko tyle, ile było potrzeba na przejazd do Hamburga jednej osoby dorosłej z trojgiem dzieci. Dlatego pojechała Matuszewska z dziećmi, a mąż jej został w Rio Janeiro i czeka przysłania mu z Łodzi pieniędzy na powrót do kraju. Według opowiadania Matuszewskiej, położenie emigrantów w Brazylii jest nad wszelki wyraz opłakane. Wszystkich wysyłanych do prowincyi Santa-Catharina osadzają w nieprzebytych lasach, we wspólnych szopach, nieraz po 20 rodzin razem, co wywołuje choroby. Wielu emigrantów, nie będąc w stanie znieść upalnego klimatu i nie mając za co kupić żywności, która tam jest bardzo droga, umiera z wycieńczenia sił. Wogóle wszyscy z później przybyłych emigrantów chcieli powrócić do kraju, ale ci tylko mogą to uczynić, którzy mają środki ku temu, a takich szczęśliwców jest bardzo mało, bo nawet ci, którzy z sobą wzięli tysiąc i więcej rubli, wszystko to przejeździli i przejedli w ciągu dwóch lub trzech miesięcy, powrotna zaś podróż, nie licząc utrzymania w drodze, kosztuje przeszło 100 rubli na osobę. Matuszewska widocznie dobrze zapoznała się ze stanem rzeczy w Brazylii, gdyż podaje wiele ciekawych szczegółów. Brazylijczycy postąpili z wychodźcami naszymi nader niesumiennie; potrzebowali, dajmy na to, dziesięć tysięcy robotników, a zwabili w swoje sieci dziesięć razy tyle; dlatego te pierwsze dziesięć tysięcy jako tako zagospodarowały się na miejscu, lecz następne dziewięćdziesiąt tysięcy ginie po prostu w szałasach leśnych lub na ulicach miasta, nie mając ani roboty, ani przytułku. Spekulanci brazylijscy doszli do tego, czego chcieli, teraz mają pod dostatkiem robotników przy bajecznie nizkiej cenie. Agenci od emigrantów wyłudzają ostatni grosz. Na nieszczęście wychodźcy nasi są nader łatwowierni i dają się oszukiwać. Niektórzy z nich kupowali na swój rachunek grunta, robili umowy, płacili pieniądze z góry, przybywszy zaś na wskazane miejsce, doznawali gorzkiego rozczarowania; wypędzano ich stamtąd kijami, gdyż, jak się pokazało, agenci-oszuści sprzedawali im cudze grunta.“

KRONIKA.

Trupa ruska Korsza daje przedstawienia w teatrze [illegible].

Stacya oceny nasion przy Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie wydała swe roczne sprawozdanie, napisane przez d-ra A. Sempołowskiego.

W sprawie Skublińskiej Izba sądowa zmieniwszy nieco wyrok poprzedniej instancyi co do innych oskarżonych, co do głównej zatwierdziła go.

Sprawy społeczne. Przeszło od roku istniejąca kasa zaliczkowo-wkładowa przy warszawskim Instytucie Muzycznym liczy obecnie 40-tu uczestników. W ciągu roku wpłynęło: składek obowiązujących rs. 1146, wkładów dobroczynnych rs. 360 i z procentów rs. 118 kop. 41. Korzystało z pożyczek 32 osoby.

— Koncert orkiestry włościańskiej p. Namysłowskiego, dany w Belle-Vue na rzecz powodzian, przyniósł dochodu sto kilkadziesiąt rubli.

— W Rydze powstało nowe Towarzystwo fotografów i miłośników fotografii. Liczy już ono przeszło 80-ciu członków-założycieli.

— Kasa pożyczkowa urzędników we Włocławku liczy 65 członków; wkłady 6,860 rs., obroty—14,332 rs.

— W Warszawie powstają tanie kąpiele dla robotników.

— Towarzystwo lekarskie w Płocku, które było już bliskie upadku, obecnie znowu zaczyna się podnosić, dzięki zabiegliwości d-ra Ehrlicha.

— Rząd niemiecki zbiera wiadomości statystyczne, dotyczące robotników polskich w kopalniach i hutach.

— Że względu na znaczną ilość dóbr, wystawionych na sprzedaż w Król. Polskiem, zwiększono liczbę delegatów taksowych.

— *Warsz. Dniew.* pisze: „W czasie rozpraw sądowych w tutejszym sądzie okręgowym w sprawie zabójstwa Wisnowskiej występował w charakterze świadka artysta opery miejscowej, p. Myszuga, który oświadczył, że nie umie i nie rozumie po rusku i że jest człowiekiem „wychowanym po polsku,“ przeto polak, chociaż wyznania unickiego z Galicyi ruskiej, a więc rosyanin. P. M. nie chciał przysięgać po rusku przed protojerejem, który odbierał przysięgę od prawosławnych. Lwowska *Czerwona Ruś* donosi z tego powodu, że p. Myszuga jest synem mieszczanina, nieumiejącego nawet po polsku, że ukończył seminaryum nauczycielskie we Lwowie i był wychowańcem Instytutu stauropigijańskiego. Rosyanie pomogli mu następnie kształcić się w śpiewie. Otóż (dodaje *Warsz. Dniew.*) dziwić się trzeba, że p. Myszuga mieszkając w Rosyi i występując na scenie teatru, otrzymującego zapomogę z kasy

ruskiej, jakgdyby uważał za ubliżające dla siebie przyznać się do pochodzenia ruskiego."

Szkoły. W dorpackim okręgu naukowym zastosowano po raz pierwszy przepisy o szkołach realnych.

— W Finlandyi powstanie około 10-ciu nowych szkół, w których wykłady będą prowadzone w języku ogólno-państwowym.

— Komisya specyalna wypracowała projekt utworzenia szkół chemiczno-technicznych dla robotników i postanowiła zaprosić fabrykantów i przemysłowców do udziału w ich zakładaniu.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż powstał projekt powierzenia lekarzom powiatowym kontroli sanitarnej nad szkołami ludowemi.

— Z dn. 1 lipca r. b. w Warszawie powstaje 18 elementarnych szkół miejskich.

Sprawy kolejowe. Na kolei Dąbrowskiej wykryto nadużycie. Pomocnik zawiadowcy, K. i konduktor, R. sprzedawali po dwa razy bilety niestemplowane.

— Księgarz wiedeński, Strummer, stara się o prawo utrzymywania wynajmu książek na główniejszych stacyach kolejowych w drodze z Wiednia do Moskwy i Petersburga.

— W tych dniach senat zatwierdził ciekawy wyrok warszawskiej izby sądowej w sprawie pożaru, wynikłego skutkiem iskry z parowozu kolei Bydgoskiej. Towarzystwo rzeczonej kolei niezależnie od procentów i znacznych kosztów sądowych obowiązane wypłacić poszkodowanym osadnikom ogółem rs. 15,193 kop. 67.

Wystawy. Otwarcie wystawy francuskiej w Moskwie nastąpi stanowczo 4-go maja r. b.

— W Warszawie zapowiada się wystawa kucharska na jesień r. b.

— Towarzystwo geograficzne postanawia urządzić w Petersburgu wystawę map i atlasów geograficznych.

— W Budapeszcie w maju i czerwcu r. b. urządzona będzie wystawa garncarska i kamieniarska.

— W Berlinie odbyła się niemiecka wystawa kucharska.

— W Tuluzie 15 maja r. b. otwarta będzie wystawa międzynarodowa, obejmująca działy: elektryczność, mechanikę, chemię przemysłową, hygienę, środki odżywiające, sztukę dekoracyjną.

— Wystawa powszechna w Chicago jest zachwianą, skutkiem bilu Mac-Kinleya.

Zjazdy. Zjazd młynarzy w Moskwie w jesieni r. b. obradować będzie między innemi nad organizacyą szkół młynarskich, utworzeniem za granicą agentur handlowych dla produktów młynarskich i określeniem dla tych produktów wysokości opłat przewozowych na kolejach żelaznych.

Wypadki. W cieśninie Gibraltarskiej statek „Utopia" zetknął się z pancernikiem angielskim i silnie uszkodzony poszedł na dno. Zginęło kilkuset wychodźców włoskich.

Bibliografia. Z. Gloger, *Popas w Sławopolu* (z rysunkami), str. 69, Warszawa, Arct.

— Klemens Junosza, *Wybór pism* w dziesięciu tomach. Obecnie wyszedł tom I. (Nieruchomość Nr. 000, Córeczka pani Maciupskiej. Pan Metr, Mała Patti, In minus). Nakład autora. Całość wydawnictwa w prenumeracie kosztuje rs. 6, z przesyłką pocztową rs. 7 k. 50.

— J. Długosz, *Prawo czynszowe*, t. I, str. 132, Odessa.

— Dr. B. Pöllkler, *O poszukiwaniach Brown Sequarda* nad działaniem płynu jądrowego oraz jajnikowego i o sperminie, str. 39 Warszawa.

— J. Łoziński, *Nie pierwszy*, fragment sceniczny, str. 32, Warszawa.

Zmarli. Dr. Wilhelm Lubelski, w Warszawie; ordynator szpitala Dzieciątka Jezus, bardzo popularny i lubiany w naszem mieście. Ur. w r. 1832, uniwersytet skończył w Dorpacie. Liczne prace drukował w czasopismach polskich, w naukowych wydawnictwach francuskich, niemieckich i angielskich.

— Władysław Witkowski w Lublinie; inżenier, wice-dyrektor Towarzystwa kredytowego m. Lublina. Napisał kilka dzieł specyalnych. Ważniejsze: „Nowy rachunek funkcyi granicznych i jego zastosowanie (1865)"; „O porach roku w naszym klimacie i o ważności przysłów narodowych meteorologicznych," „Zasady matematyczne muzyki"; „Zasady matematyczne chemii."

— Henryk Halpert, w Petersburgu; wice-prezes kolei Nadwiślańskiej.

— Juliusz de Svert, kompozytor belgijski, w Ostendzie.

— Rudolf Benfey, w Jenie; literat niemiecki.

— Rudolf Standigl, profesor techniki w Wiedniu.

— Jan Jonkind, w Brukselii; malarz holenderski.

— Młody człowiek dla dokończenia studyów uniwersyteckich potrzebuje rs. 200. Ktoby mógł pożyczyć na termin dwuletni, raczy zgłosić się do Redakcyi.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem podaje do wiadomości pp. artystów malarzy, iż stosownie do § 1 regulaminu Wystaw corocznych konkursowych Towarzystwa, w m. Styczniu 1892 roku odbędzie się **konkurs malarstwa.** Do przyjęcia na konkurs kwalifikują się: obrazy olejne, akwarele, miniatury pastele, kartony i rysunki, wykonane w ciągu lat trzech ostatnich i jeżeli przytem nie były umieszczone na wystawie, czy to w Towarzystwie, czy innej w Warszawie. Nie kwalifikują się do konkursu wszelkie kopie i dzieła artystów zmarłych na trzy lata przed otwarciem wystawy konkursowej. Dzieła na konkurs nadsyłane mają być w ramach. Rysunki, ujęte w jedną ramę, za jedno dzieło uważane będą. Deklaracye w formie zwyczajnej korespondencyi pod adresem Komitetu Towarzystwa przesyłać należy przed 3 (15) Grudnia 1891 roku. W deklaracyi winna być zamieszczona treść dzieła, cena, dokładny adres artysty z krótką wiadomością o tem, gdzie i kiedy się urodził i w jakiej szkole otrzymał wykształcenie artystyczne. Dzieła konkursowe nadesłane lub dostarczone być winny do lokalu Towarzystwa najpóźniej 19 (31) Grudnia 1891 roku do godz. 6 wieczorem. Komitet przeznaczył na konkurs powyższy trzy nagrody pieniężne: po rubli 600, 300 i 200 za dzieła mające istotną wartość artystyczną. Koszt transportu dzieł, par petite vitesse, z opłatą cła od przysłanych z zagranicy, o ile dzieła te przyjęte zostaną przez cenzurę rządową i delegacyę sądu konkursowego, ponosi Towarzystwo. Regulamin szczegółowy konkursu, na żądanie, wysyła franko lub wydaje na miejscu bezpłatnie kancelarya Towarzystwa.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem ogłasza niniejszem, iż w ciągu r. b. 1891 wakować będą następujące **stypendya:**

1) z funduszu imienia Józefa **Simmlera**, stypendyum rs. 240, dla młodzieńca rodem z Królestwa Polskiego, bez różnicy wyznania, posiadającego rzeczywisty talent i pragnącego wydoskonalić się w sztuce malarskiej. Stypendyum przyznane będzie temu z kandydatów, który pod okiem delegowanych członków Komitetu Towarzystwa najlepiej wykona studyum olejne z natury, oraz szkic kompozycyi na zadany temat. Ze współubiegających się, jednakowej kwalifikacyi, pierwszeństwo mieć będzie Simmler, krewny zmarłego artysty malarza Józefa Simmlera.

2) z zapisu Heleny Korwin-**Szymanowskiej**, stypendyum rs. 150, dla młodzieńca urodzonego w Królestwie Polskiem, wyznania rzymsko-katolickiego, ubogiego, moralnej kondulty, pragnącego wydoskonalić się w sztuce malarskiej lub rzeźbiarskiej. Stypendyum przyznane będzie temu, kto pod okiem delegowanych członków Komitetu Towarzystwa najlepiej wykona na tematy wyznaczone prace, za dostateczne uznane. Ze współubiegających się jednakowo uzdolnionych, Szymanowscy herbu Ślepowron przydomku Korwin, lub Kossowscy z Głogowy będą mieli **pierwszeństwo** do stypendyum.

3) z zapisu Ignacego **Ciszewskiego**, stypendyum rs. 215 dla młodzieńca, poświęcającego się sztuce rzeźbiarskiej, według wyboru Komitetu Towarzystwa.

Kandydaci, pragnący się ubiegać o powyższe stypendya, winni najpóźniej do dnia 1 Września r. b. 1891 uczynić podanie do Komitetu Towarzystwa, na papierze bez stempla z załączeniem: metryki urodzenia, świadectwa dobrej kondulty; zaś kandydaci Simmlerowie, Szymanowscy i Kossowscy, oprócz powyższych dowodów i legitymacye swego pochodzenia. Co zaś do stypendyum Ciszewskiego, kandydaci winni przedstawić Komitetowi obok wzmiankowanych dowodów i odpowiednią własnę pracę, o ile takowa nie była umieszczona na wystawie Towarzystwa przed podaniem się na stypendyste. Gdyby który z kandydatów pragnął uzyskać jedno z powyższych stypendyów dla kształcenia się za granicą, winien przedstawić świadectwo naczelnika gubernii o pozyskanie pasportu na pobyt za granicą.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dla prenumeratorów *Prawdy* dodatek kwartalny, ark. 5—10 dzieła dr. K. Letourneau Rozwój moralności.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 14 Марта 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. Al. A. Świętochowski.